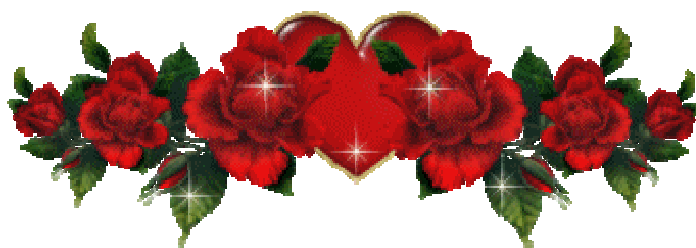




*Angie Ray*

---



*Biznesmen z Chicago*

---

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jack Wisnewski jeszcze nigdy nie widział równie ohydneho i prostackiego naszyjnika.

Rubiny i szmaragdy tłoczyły się na jaskrawożółtym złocie, poskręcanych w najcudaczniesze zawijasy i pętelki. Natłok ozdób z pewnością wprowadziłby w osłupienie nawet cara Rosji. Kobieta z taką biżuterią na szyi oślepiaby niewinnych przechodniów lub robiła zamieszanie z powodu podobieństwa do wystrojonej ponad miarę choinki bożonarodzeniowej. Jubilerskie cacko nie miało nic wspólnego z estetyką. Chodziło w nim tylko o to, aby kłuć ludzi w oczy ostentacyjnym bogactwem.

- Doskonały - pochwalił blondynkę z kokiem, która stała za ladą i uporczywie trzepotała rzęsami. - Biorę.

- Wyśmienity wybór - pochwaliła go natychmiast. - Ma pan doskonały gust.

- Ogromnie dziękuję.

Młoda kobieta najwyraźniej nie wyczuła ironii w jego głosie. Włożyła naszyjnik do pudełka i wydrukowała paragon, przez cały czas monotonna trajkocząc.

- Kobiety uwielbiają rubiny i szmaragdy. Są takie ciekawe, znacznie ciekawsze niż brylanty, prawda, proszę pana? Pańska narzeczona z pewnością zakocha się w tym naszyjniku.

Umilkła, aby sprawdzić, jak zareagował na jej uwagę. Momentalnie rozpoznał to charakterystyczne spojrzenie. Przez ostatni miesiąc musiał

sobie radzić z wieloma kobietami o równie drapieżnych zamiarach. Aby się z nimi uporać, stosował trzy strategie: ataku, ucieczki i udawania trupa.

Metoda ataku sprawdzała się w ekstremalnych sytuacjach i nie warto jej było stosować w odniesieniu do ekspedientki. Ucieczka nie wchodziła w grę, bo jeszcze nie dostał z powrotem karty kredytowej. Pozostawała zatem tylko jedna opcja.

Nie potwierdził domysłów sprzedawczyni, ale też im nie zaprzeczył.

Blondynka nie wydawała się jednak zniechęcona. Po sfinalizowaniu transakcji podsunęła mu pudełko i wizytówkę.

- Mój domowy numer jest na odwrocie. Jeśli kiedyś zechce pan się umówić na prywatną prezentację oferowanych przeze mnie... walorów, proszę o telefon.

Jack wsunął pudełko do kieszeni, ale wizytówkę zostawił na ladzie.

- To nie będzie konieczne - mruknął.

Ruszył do drzwi i niemal się zderzył z innym klientem, który energicznie wmaszerował do sklepu. Niski, otyły jegomość stanął na progu i wbił w niego wzrok.

- Ejże, znam pana! - Niskie czoło nieznajomego się rozpogodziło. - Dzisiaj tano widziałem pana zdjęcie w „Chicago Trumpeter”. Bzykanki macanki, co? - zarechotał dosadnie.

- Mogę przejść? - burknął Jack. - Stoi mi pan na drodze.

Przybysz umilkł i pośpiesznie się odsunął. Jack wyszedł i głośno zatrzasnął za sobą drzwi. Zatrzymał się na pograżonej w półmroku ulicy, a zimny wiatr smagał mu twarz i dłonie.

Włożył rękawiczki i ukrył część twarzy pod szalikiem. Szybkim krokiem ruszył przed siebie, przeklinając chwilę, w której zgodził się na rozmowę z tą piekielną reporterką.

Złamał zasadę i udzielił wywiadu, bo zapewniła go, że chodzi o artykuł na temat biznesmenów zapewniających pracę bezrobotnym, aby w ten sposób rewitalizować miasto. Nie miał pojęcia o prawdziwych intencjach dziennikarki. Na moment zapomniał o czujności, zdradził jej kilka faktów ze swojego życia i w ten sposób zmienił je w piekło. Z początku uważał, że to zabawne. Na jego widok mężczyźni wymieniali rubaszne dowcipy, kobiety zerkały z zainteresowaniem. Problem jednak narastał. Codziennie otrzymywał worki listów, kobiety zaczęły się pokazywać w jego biurze, przed mieszkaniem, w restauracjach, do których chodził...

Wczoraj sytuacja stała się nie do zniesienia. Właśnie jadł kolację w eleganckim lokalu i dobijał targu z zamożnym klientem, kiedy zjawiała się pewna przedsiębiorcza kobieta o nazwisku Lilly Lade i wyznała, że jest śpiewającym telegramem. Okazało się jednak, że nie śpiewy jej w głowie, tylko striptiz, więc na oczach zbulwersowanych matron musiał owinąć dziewczynę, czym popadło, i siłą wyprowadzić z restauracji.

Niestety, na dworze dziewczyna rzuciła mu się na szyję i zanim zdołał ją od siebie oderwać, pocałowała go w usta. Paparazzo z brukowca nie zmarnował okazji i zrobił kilka zdjęć.

Zmarznięty Jack przyśpieszył kroku w kierunku limuzyny za rogiem i mimowolnie wpadł na nieznaną kobietę.

- Au! - krzyknęła cicho.

Paczki, które niosła, rozsypały się dookoła, a ona sama upadła na ośnieżony chodnik. Błyskawicznie przy niej uklęknął.

- Czy wszystko w porządku? Nieco oszołomiona skinęła głową.

- Tak myślę...

Wbrew sobie spojrział na jej usta. Górna warga była długa i idealnie równa, bez żadnego zagłębienia, kąciki ust nieznacznie unosiły się ku górze, a dolna warga sprawiała wrażenie krótszej, lecz pełniejszej.

- Ogromnie przepraszam... - wykrztusiła.

- To moja wina - przerwał jej. - Nie patrzyłem, dokąd idę.

- Skąd, to ja się śpieszyłam na pociąg... Och, moje zakupy!

Niezdarnie wstała i podniosła z ziemi pudełko. Spod zgniecionego wieczka wystawał turkusowy szalik i bibuła, które pośpiesznie wepchnęła z powrotem do środka. Pudełko schowała do torby.

- Na pewno nic się pani nie stało? - Podniósł z ziemi jej czapkę, którą błyskawicznie wcisnęła na głowę. Spod jaskrawoczerwonej włóczki wysunęło się kilka krótkich, czarnych loczków.

- Tak, na pewno - potwierdziła. Jej zęby wydawały się olśniewająco białe na tle złocistej skóry. W policzkach pojawiły się dołeczki.

- Pomogę pani - zaproponował i sięgnął po targaną wiatrem torebkę.

Sprawnie włożył do niej kilka małych pudełek, lecz większą uwagę zwracał na dziewczynę niż na zakupy. Najwyraźniej go nie rozpoznała - dobry znak. Nie potrafił ocenić jej sylwetki, starannie ukrytej pod znoszonym płaszczem, za dużym o kilka rozmiarów. Nieznajoma była drobnej budowy, miała chyba niespełna metr sześćdziesiąt wzrostu.

Podniósł parę maleńkich, różowo-żółto-niebieskich tenisówek. Ponownie spojrział na nią. Była młoda, lecz nie za młoda na dziecko.

- Te buciki się pobrudziły - zauważył. - Chętnie kupię pani nowe, i zapłacę za inne zniszczenia.

- Nie ma potrzeby - zaprotestowała. - Błoto się zmyje. Poza tym moja bratanica z pewnością nie zauważy kilku małych plamek. Och!

Popędziła za piłką do baseballu, która powoli toczyła się w stronę otworu ściekowego. Jack zauważył smagane wiatrem kolorowe czasopismo.

- Czy to pani własność? - zawołał i. podniósł brudną gazetę. Zerknęła przez ramię i skinęła głową.

Jack nagle się zorientował, że na okładce widnieje jego twarz. Zacisnął zęby, wepchnął pismo do torby i podszedł do kucającej w rynsztoku kobiety. Gdy wstała, wcisnął jej torbę w rękę.

- Proszę - burknął. - Następnym razem niech pani patrzy, dokąd pani idzie.

Pośpiesznie odszedł i wszedł do czekającej nieopodal limuzyny.

- Do domu, Hardeep - zakomenderował.

- Tak jest, proszę pana - odparł szofer.

Po chwili dostrzegł przez okno nieznajomą, która nadal stała, zaciskała dłonie na torbach i z niekłamany zdumieniem spoglądała na limuzynę.

Ogarnęła go nieopisana złość. Dziewczyna z pewnością czyhała na niego za rogiem. Gdyby nie zdradziło jej czasopismo, uznałyby ich spotkanie za dzieło przypadku. Niewiele brakowało, a zaproponowałyby, że ją podwiezie do domu.

Świetnie to sobie zaplanowała. Wyglądała tak niewinnie... Może z wyjątkiem ust. Powinien był mieć się na baczności, gdy tylko je zauważył.

Milczał ponuro przez całą drogę, aż wreszcie szofer przystanął przed jego apartamentowcem. Dopiero gdy Jack wszedł do środka i sięgnął do kieszeni, zorientował się, że czegoś brakuje.

Zniknął naszyjnik ze szmaragdami i rubinami.

Zmarznięta i przemoczona Ellie weszła do mieszkania i rzuciła torby na mały stolik.

- Cześć, Martina - westchnęła z ulgą na widok kuzynki, która zaglądała do dużego garnka na ogniu. - Jak tam końcowy egzamin?

- Nieźle. Poszło łatwiej, niż się spodziewałam.

- Martina zamieszała w garnku pełnym warzyw po meksykańsku i popatrzyła na Ellie. - Co ci się stało, kochana?

Ellie tylko pokręciła głową i ściągnęła płaszcz oraz mokre rękawiczki i podeszła ogrzać dłonie nad przyjemnie ciepłym piecem.

- To długa historia - mruknęła wymijająco.

- Dość powiedzieć, że wpadłam na pana Gburskiego i spóźniłam się na pociąg.

- Gburski? - zdziwiła się Martina. - Kto to taki?

- Nikt szczególny. - Ellie nie miała ochoty myśleć o niesympatycznym mężczyźnie, który w rzeczywistości musiał być jakimś Ważniakiem - jeździł drogą limuzyną i nosił kosztowne ubranie. Z pewnością miał spory majątek. Na dodatek był zepsuty i kapryśny, bo nagle postanowił, że jednak nie warto pomagać osobie, na którą się wpadło.

- Jak tam w galerii? - zainteresowała się Martina i przełożyła potrawę do szklanej miski.

- Nie najgorzej. Miałam mnóstwo gości. Przekonałam jedną parę, że warto zabrać ze sobą obraz do domu i przymierzyć. Poza tym sprzedałam rzeźbę. - Ellie ostrożnie nałożyła sobie warzywa na talerz. - Pewna kobieta oświadczyła, że rzeźba przypomina jej o pierwszej miłości. Nawet nie spojrzała na metkę z ceną. Kiedy usłyszała, ile kosztuje, oświadczyła, że nie może sobie pozwolić na taki wydatek i poprosiła o zniżkę. Odparłam,



że suma i tak nie jest wygórowana, a ona wyjaśniła, że stać ją na zapłacenie zaledwie połowy...

- Więc praktycznie oddałaś rzeźbę za darmo - podsumowała Martina i pokręciła głową z dezaprobatą. - Nigdy nie miałaś żyłki handlowej. Aż trudno uwierzyć, że nosisz nazwisko Hernandez.

Ellie wyduła usta.

- Staram się, robię postępy - przypomniała kuzynce.

- Akurat. Sama powiedziałaś, że pan Vogel będzie musiał zamknąć galerię, jeśli nie zacznie przynosić zysków.

Ellie przygryzła wargę. Pracowała ciężko, ale galeria przez ostatnie trzy miesiące nie zarobiła na sobie. Trzeba było coś wymyślić, i to szybko, bo pan Vogel nie będzie mógł sobie pozwolić na jej utrzymywanie. Co wówczas się stanie z Tomem i Bertrice, a także innymi artystami, którzy wystawiali w niej prace?

Od czasu do czasu Ellie musiała sobie dorabiać sprzątaniami domów. Niedawno doszła jednak do wniosku, że nie ma sensu najmować się do pracy sprzątaczką, skoro w galerii dzieje się tyle interesujących rzeczy. Przychodzili rzeźbiarze, gotowi rozmawiać o zaletach swoich ostatnich dzieł. Wpadali studenci z teczką wyjątkowo atrakcyjnych szkiców. Pojawiali się ludzie spragnieni oderwania od banalnej rzeczywistości, poszukujący świata kształtu, formy, koloru...

- Sprzedaż wzrośnie - powiedziała Ellie zdecydowanie, choć wcale nie była tego taka pewna.

- Musisz się reklamować. Reklama jest dźwignią handlu - obwieściła Martina, studentka marketingu na pobliskim uniwersytecie. Choć miała zaledwie dwadzieścia jeden lat, uważała się za specjalistkę we wszystkich



sprawach związanych z biznesem. - No i kontakty. Musisz starannie dobrać partnerów handlowych.

Ellie skrzywiła się z niechęcią.

- Mam przyciągać bogatych biznesmenów i ich żony?

- To się nazywa strategia sieciowa. Ellie, nie bądź taką snobką!

- Nie jestem!

- Owszem, jesteś, w sprawach sztuki. Serce mi się kraje, gdy pomyślę o tej biednej kobiecie, która wczoraj przysłała do galerii.

- Martina, przecież wyjaśniłam ci, co powiedziała... - zaczęła Ellie z rezygnacją.

- Tak, pamiętam doskonale. Chciała wiedzieć, czy obrazy to dobra lokata kapitału. Ellie, zarabianie pieniędzy nie jest zbrodnią.

- Jeśli ktoś chce dobrze zainwestować, niech kupi nieruchomość. - Ellie obejrzała się przez ramię na powycieraną, skórzaną kanapę oraz na liczne obrazy, wypełniające każdy wolny skrawek ściany za meblem. - Sztuki nie powinno się łączyć z zarobkowaniem.

Martina przewróciła oczami.

- Ellie, nie w tym rzecz - westchnęła. - Póki co, sztuka jest nierozzerwalnie związana z pieniędzmi. Powinnaś była znaleźć coś odpowiedniego dla tamtej kobiety, a nie sugerować jej spacer do innej galerii. Pomyśl czasem jak biznesmen! - Martina podeszła do toreb na stole. - Kupiłaś mi pisemko?

- Tak, jest tutaj. - Zamyślona Ellie skubała gotowane warzywa. Czy Martina miała rację? Czy słusznie zarzucała jej snobizm?

Z trudem przełknęła kęs potrawy. Z całą pewnością przysłała pora na zmiany. Nie mogła dopuścić, by zamknięto galerię.

- Masz słuszość - zgodziła się z Martiłą. - Od tej pory zamierzam myśleć tylko i wyłącznie kategoriami biznesowymi. Będę zimna, surowa i bezwzględna.

- Może wystarczy zachować zdrowy rozsądek? - zasugerowała Martina i nagle cicho gwizdnęła.

- A to co takiego?

Ellie zerknęła na kuzynkę, która nie mogła oderwać wzroku od zawartości płaskiego pudełka z biżuterią.

- Skąd to wytrzasnęłaś, na litość boską? - wykrztusiła Martina. - Wydałaś wszystkie oszczędności?

Ellie odłożyła widelec, wstała i jęknęła na widok naszyjnika z rubinami i szmaragdami, które lśniły łagodnym blaskiem w przyciemnionym świetle pomieszczenia. Autentyczność kamieni nie budziła najmniejszych wątpliwości.

- Wielkie nieba - wymamrotała słabym głosem.

- To z pewnością własność tego człowieka... pana Gburskiego.

- O kurczę. Nie będzie mu do śmiechu, kiedy zauważy, co zgubił - mruknęła Martina.

- Raczej nie. - Ellie pokiwała głową. Nie mogła przestać się zastanawiać, komu można ofiarować równie paskudny, aczkolwiek niewątpliwie kosztowny naszyjnik. Żonie? Prędeż kochance, doszła do wniosku i zmarszczyła nos.

Na białym aksamicie pod wieczkiem widniała nazwa zakładu jubilerskiego.

- Chyba będę musiała się z tym pofatygować do salonu. - Nagle przypomniała sobie, że jutro jest Wigilia - miała dwa domy do sprzątania,

a na wieczerę wybierała się do wujostwa. Wyprawa na Michigan Avenue zwyczajnie nie wchodziła w grę.

Pomyślała, że bogatemu grubianinowi należy się nauczka. Niech się podenerwuje przez święta. W tej samej chwili jednak uświadomiła sobie, że postępując w taki sposób, upodobniłaby się do niego.

- Ten gość musi spać na pieniądzach. - Martina zerknęła na Ellie z ukosa. - Ciekawe, kto to taki.

- Nie mam pojęcia. - Ellie wcale nie chciała wiedzieć.

- Hm... - Martina nadal obserwowała kuzynkę. - Pewnie jakiś zdziadziały staruszek.

- Bynajmniej - zaprzeczyła Ellie. - Ma chyba koło trzydziestki.

- Trzydziestolatek! Nieźle! Przystojny?

- Nie zastanawiałam się - skłamała Ellie.

W rzeczywistości od razu doszła do wniosku, że nieznajomy jest niezwykle atrakcyjny. Gdy po raz pierwszy spojrzała na zatroskaną twarz milionera, jej serce mocniej zabiło. Sprawiał wrażenie przyjacielskiego, uśmiechał się do niej szarozielonymi oczami... które nagle, zupełnie niespodziewanie, stały się zimne jak lód.

Po tym, jak na nią wpadł i ją przewrócił, mógł przynajmniej zaproponować jej podwiezienie do domu. Pewnie by odmówiła, ale liczyłyby się intencje. Nie zrobił tego jednak. Może z obawy, że obca kobieta pobrudzi mu ukochaną limuzynę.

Po krótkim zastanowieniu Ellie uświadomiła sobie, że nieznajomy wcale jej się nie podoba.

- To był potężnie zbudowany mężczyzna o antypatycznym spojrzeniu - poinformowała kuzynkę.

- Grubas?

Gdy na niego wpadła, wydał jej się twardy jak skała.

- Trudno ocenić - oświadczyła wymijająco. - Miał płaszcz. Ale jego twarz była w typie van Gogha.

- Chcesz przez to powiedzieć, że miał jedno ucho? - zdumiała się Martina.

Ellie zachichotała i pokręciła głową, lecz postanowiła milczeć. Nie chciała się przyznać, że doskonale pamięta krzaczaste brwi nieznajomego, jego przenikliwy wzrok, kanciaste rysy, nieco asymetryczne...

- Ech, sama nie wiem, czemu bogaci mężczyźni zawsze są brzydcy jak noc. - Martina westchnęła i wyciągnęła z torby czasopismo, które kupiła dla niej Ellie. - No, może nie wszyscy - poprawiła się i pokazała kuzynce okładkę. - Jack Wisnewski wygląda całkiem, całkiem, co?

Ellie kupiła gazetę w sklepie, lecz wówczas ledwie zerknęła na okładkę. Teraz przyjrzała się jej uważniej i zamarła.

Większą część strony zajmowało zdjęcie na wpół rozebranej dziewczyny o rudych włosach oraz mężczyzny, który z wściekłością spoglądał w obiektyw. Nieznajomy miał znajome, szarozielone oczy, ściągnięte, grube brwi i robił taką samą minę, jak kilka godzin temu, gdy zostawiał Ellie.

Nad zdjęciem widniał nagłówek, wydrukowany jaskrawą czerwienią:  
*Danie główne: bzykanki macanki. Deser: Najbardziej pożądaný kawaler Chicago.*

## ROZDZIAŁ DRUGI

Próba spotkania się z Jackiem Wisnewskim była równie karkołomna, jak umówienie się na wizytę u papieża.

Ellie martwiła się, że biurowiec będzie zamknięty z powodu świąt, lecz najwyraźniej wszyscy tutaj pracowali jak w zwykły dzień. Strażnik z uwagą obejrzał jej prawo jazdy, zupełnie jakby podejrzewał fałszerstwo, a następnie zażądał wyjaśnienia, po co przyszła. Gdy wyjaśniła, ochroniarz sięgnął po telefon i przez chwilę z kimś rozmawiał. Następnie poprosił Ellie, aby chwilę zaczekała.

Chwila trwała dwadzieścia minut, po których Ellie zaczęła tracić cierpliwość. Właśnie zakończyła sprzątanie drugiego domu, była brudna i spocona. Najbardziej na świecie pragnęła wrócić do siebie, wziąć prysznic i przebrać się przed kolacją wigilijną. Miała ochotę spotkać się z wujostwem, a nie tkwić w zimnym holu i czekać na aroganckiego biznesmena. Żałowała, że dała się namówić Martinie na osobiste spotkanie z Wisnewskim.

- Ellie, nic nie rozumiesz? - przekonywała ją kuzynka. - Korzystaj z okazji. Zwróć naszyjnik i spytaj tego gościa, czy nie potrzebuje paru dzieł sztuki do gabinetu. Może coś kupi, kto wie? Pomyśl o czymś jeszcze. Jeśli ci dopisze szczęście, facet zabierze cię na randkę.

Ellie wzruszyła ramionami.

- Wątpię, czy spodoba mu się cokolwiek z galerii Vogel. A gdyby chciał się ze mną umówić, co jest absolutnie niemożliwe, na pewno się nie zgodzę. Wyjaśniłam ci, że jest niesympatyczny i niekulturalny. Poza tym

czy normalny mężczyzna pozwala, aby dziennikarze brukowców fotografowali go w towarzystwie rozneglizowanych panienek?

- Może dlatego zachowywał się nieuprzejmie. Po prostu czuł się zakłopotany tym zdjęciem.

Ellie znowu spojrzała na okładkę. Prawie naga ruda uśmiechała się szeroko. Podpis głosił, że nazywa się Lilly Lade. Wkurzony Jack Wisnewski nie sprawiał wrażenia zakłopotanego. Raczej wyglądał na pewnego siebie. Na dodatek miał koszmarny gust: podobały mu się okropne kobiety i wyjątkowo paskudna biżuteria.

Mimo wszystko Martinie nie sposób było odmówić racji. Dalsze funkcjonowanie galerii zależało wyłącznie od przedsiębiorczości Ellie. Musiała więc zapomnieć o dumie i spotkać się z milionerem, który na pewno okaże jej wdzięczność za zwrot naszyjnika.

Sprawdziwszy w książce telefonicznej adres Wisnewski Industries, wsiadła do pociągu i pojechała do centrum miasta. Należący do firmy wieżowiec skojarzył jej się z fortecą: był wykonany z szarego kamienia i miał wąskie, nieprzeniknione okna.

Nadgorliwy strażnik wzmógł nieprzyjemne wrażenie. Na szczęście w końcu ponownie podniósł słuchawkę, przez chwilę słuchał uważnie, pokiwał głową i się rozłączył.

- Proszę wpisać nazwisko i adres. - Podsunął Ellie formularz. - Dostanie pani przepustkę. Płaszcz i rzeczy osobiste zostaną tutaj.

Czyżby wziął ją za terrorystkę?

Posłusznie zdjęła palto i napisała na dokumencie swoje dane. Na wszelki wypadek podała adres galerii, zamiast domowego. Plastikową przepustkę przypięła do paska torebki.

Na górze napotkała następną przeszkodę w postaci licznych sekretarek i asystentek, ubranych w przepisowe, granatowe garsonki. Przy ostatnim biurku siedziała kobieta z fryzurą w kształcie hełmu. Wbiła w Ellie świdrujące spojrzenie i lekko wydeła usta na widok dżinsów oraz żółtego swetra. Po krótkiej rozmowie telefonicznej recepcjonistka zaprowadziła gościa do głównego gabinetu.

Oczom Ellie ukazała się drewniana boazeria, gruby dywan i ciężkie meble. Na ścianach wisiały banalne, lecz niewątpliwie kosztowne olejne pejzaże. Na wprost wejścia, za rzeźbionym biurkiem z mahoni, w wielkim jak tron fotelu zasiadał pan Pożądany Kawaler.

Miał na sobie szary garnitur w cienkie paski, białą koszulę i czarny krawat. Wyglądał tak samo konserwatywnie, jak jego gabinet, choć brakowało mu nieco elegancji. Węzeł krawata odrobinę się przekrzywił, zupełnie jakby ktoś go szarpał, a marynarka sprawiała wrażenie za ciasnej w ramionach. Ogólnie biorąc, odzież nie pasowała do mocnych rysów twarzy Wisnewskiego i jego muskularnej sylwetki.

- Więc w końcu wytropiła mnie pani - zauważył na powitanie.

Popatrzyła w jego zimne, nieprzyjemne oczy.

- Słucham?

- Przed panią miałem już do czynienia z kobietami, które aranżowały spotkania, a potem mnie prześladowały - warknął ostro.

Ellie osłupiała. Czy ten facet naprawdę uważał, że się na niego zaczaiła? Czy z tego powodu tak nagle zostawił ją wczoraj na ulicy?

Nieprawdopodobne!

Z najwyższym trudem zapanowała nad emocjami. Podeszła do biurka i położyła na blacie pudełko z naszyjnikiem.

- Odnoszę pańską własność - wyjaśniła z niechęcią.



Pochylił się i podniósł wieczko. Przez chwilę wpatrywał się w drogocenne kamienie i z kamienną miną zamknął pudełko.

Spodziewała się, że jej - podziękuję, wyrazi wdzięczność, może nawet przeprosi za nieuprzejme potraktowanie. Nic podobnego.

- Pewne oczekuje pani nagrody - wycedził.

W jednej chwili uświadomiła sobie, że wolałaby codziennie, do końca życia szorować łazienkę pani Petrie, niż sprzedać temu człowiekowi choćby jedno dzieło ze swojej galerii. Jack Wisnewski nawet nie wstał ani nie poprosił Ellie, żeby usiadła. Zamiast podziękowań zaproponował jej pieniądze, zachowywał się obraźliwie i lekceważąco. Znała ten typ: nie obchodzili go ludzie ani ich uczucia. Interesował się wyłącznie pieniędzmi oraz dobrami, które można za nie kupić. Ktoś taki jak Jack Wisnewski nie wydałby ani centa na coś tak zbędnego i absurdalnego jak sztuka, zwłaszcza sztuka współczesna. Ellie zacisnęła pięści. W pierwszej chwili zamierzała zaprzeczyć, obrzucić go lodowatym spojrzeniem i wyjść. Wczoraj jednak obiecała sobie, że będzie myślała jak biznesmen. Ludzie interesu nie grzeszyli nadmierną uprzejmością, czego najlepszym przykładem był Wisnewski, i nie krępowali się mówić o pieniądzach.

- Owszem, spodziewam się nagrody - potwierdziła wyniośle i lekko uniosła brodę.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

- Przynajmniej nie owija pani w bawełnę. - Z kieszeni wyciągnął książeczkę czekową. - Ile?

- Pięć tysięcy. - Wymieniła pierwszą sumę, jaka jej przyszła do głowy.

Przez długą chwilę milczał. Ellie patrzyła na niego twardo.

W końcu wzruszył ramionami, sięgnął po wieczne pióro, wypisał czek i przesunął go w stronę dziewczyny.

Zaskoczona, wpatrywała się w kartkę papieru. Spodziewała się oporu, próby negocjacji. Czy prawdziwy biznesmen tak łatwo rozstawałby się z tak dużymi pieniędzmi?

- I co?

Podniosła wzrok i zauważyła, że zmrużył oczy. Szybko podeszła do blatu i zgarnęła czek. Na blankiecie widniała kwota pięciu tysięcy dolarów. Ponownie się zawahała, nękana wyrzutami sumienia. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że woli zwrócić czek właścicielowi, lecz w tej samej chwili zadzwonił telefon.

Jack Wisnewski nacisnął przycisk i w pomieszczeniu zabrzmiał głos sekretarki.

- Mam tutaj przesyłkę z marketingu - oświadczyła.

- Proszę wejść - odparł i popatrzył wymownie na Ellie.

Najwyraźniej chciał jej zakomunikować, że wizyta skończona. Jego bezczelność wstrząsnęła nią do tego stopnia, że zapomniała o wyrzutach sumienia.

- Dziękuję za czek - powiedziała, wsunęła czek do torebki i skierowała się do drzwi.

Otworzyły się, zanim zdążyła dotknąć klamki. Do gabinetu wszedł chudy młodzieniec, obarczony dużym, płaskim przedmiotem w kształcie prostokąta. Położył owinięty szmatą obiekt na stole.

- Pan Johnson powiedział, żebym to przyniósł bezpośrednio do pana gabinetu - wykrztusił i pośpiesznie umknął, zatraskując za sobą drzwi.

Ellie zamrugała, zdumiona postępowaniem gońca. Doszła do wniosku, że prawdopodobnie wszyscy pracownicy Wisnewskiego

zachowują się podobnie, bo się go panicznie boją. Już wychodziła, kiedy zatrzymał ją dziwny szelest od strony biurka. Szmata, okrywająca tajemniczy przedmiot, zsunęła się na podłogę. Oczom dziewczyny ukazał się portret, a właściwie akt.

Z wielkiej, białej muszli wyłaniała się Lilly Lade, eksponując wszem wobec obfity biust, fragment nagich pośladków i pulchne uda. Jej rude włosy wyraziście kontrastowały z błękitem morza. Dwaj bogowie wiatru fruwali nieopodal, a ich oblicza były równie banalne, jak całe dzieło malarza.

- Jeszcze coś?

Ellie podskoczyła na dźwięk szorstkiego głosu.

- Nie, skądże znowu - zapewniła go. - Tak sobie tylko myślałam, że dokładnie w tego typu malarstwie pan gustuje. - Uśmiechnęła się słodko.

- Jest pani przeciwniczką aktów? - zainteresował się.

- Nie, jestem przeciwniczką marnej sztuki.

- Ach, rozumiem. Pani Specjalistka. Sarkazm w jego głosie zirytował ją niemal równie mocno, jak nieuprzejme spojrzenie.

- Pracuję w galerii.

- Ma pani na myśli sklep z plakatami w centrum handlowym?

- Niezupełnie. Chodzi mi o galerię Vogel w Pilsen - burknęła. -

Specjalizujemy się w sztuce współczesnej. Proszę kiedyś wpaść, jeśli przyjdzie panu ochota kupić coś odrobinę wyższych lotów. - Odwróciła się na pięcie i nacisnęła klamkę.

Duża, męska dłoń nagle docisnęła drzwi, uniemożliwiając ich otwarcie. Ellie groźnie zmarszczyła brwi i obejrzała się przez ramię. Jack był wyższy, niż to zapamiętała. Jak to możliwe, że udało mu się podejść do

niej tak szybko i cicho? Teraz stał nieruchomo i wpatrywał się w nią zmrużonymi oczami.

- Już pani zapłaciłem - wycedził. - Więcej pani nie dostanie. Jeśli ma mi pani coś jeszcze do zaoferowania, to chętnie wezmę. Gratis.

Wzdrygnęła się oburzona.

- Nie mam panu nic do zaproponowania - odparła wyniośle i szarpnęła za klamkę. Drzwi ani drgnęły. - Czy zechce pan zabrać rękę?

Jack powiódł spojrzeniem po jej ciele, nieco dłużej zawieszając wzrok na ustach.

- Gdyby zmieniła pani zdanie, proszę dać mi znać. Najpierw jednak proponuję zrobić dobry użytek z pieniędzy ode mnie i zainwestować w ubranie nieco lepszej jakości.

Oderwał dłoń od drzwi. Ellie otworzyła je gwałtownym szarpnięciem i pośpiesznie opuściła gabinet.

Po powrocie do domu z wściekłością zatrzęsnęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami. Z sypialni wyszła zaintrygowana Martina, ubrana w aksamitne spodnie i czerwony sweter.

- Wróciłaś! - zauważyła niezbyt mądrze. - Zaczynałam się o ciebie martwić. Co osiągnęłaś?

- Niemało. - Ellie rzuciła płaszcz i buty do szafy, a następnie poszła się do kuchni. - Zastanawiam się, czy napisać list do „Chicago Trumpeter”.

Martina podreptała za kuzynką. - Poważnie?

- Tak. Powinni wiedzieć, że popełnili błąd w nagłówku artykułu o Wisnewskim. - Wyjęła z torebki czek na pięć tysięcy dolarów i wrzuciła go do szuflady z rupieciami. - Szkoda, że nie nazwali go najbardziej paskudnym kawalerem Chicago.

Jack nie potrafił się wczuć w wigilijny nastrój. Dla niego ten dzień był zwieńczeniem wyjątkowo beznadziejnego miesiąca.

Portret Lilly Lade - infantylny dowcip Teda Johnsona z marketingu - bardzo go zdenerwował. Irytująca kobieta o nazwisku Hernandez najpierw zgarnęła pięć tysięcy dolarów, a potem obejrzała sobie ten idiotyczny obraz. Najgorsze jednak było co innego: Wigilia u Doreen, jego siostry.

- Poszłam na uroczystą kolację w klubie - oświadczyła, gdy służąca nalewała Jackowi wina.

- Przybyły wszystkie liczące się rodziny: Mitchellowie, Branwellowie. Nawet Palermo. Anthony Palermo poprosił Karen do tańca.

- Nie przypominaj mi o tym - jęknęła Karen. Odezwała się po raz pierwszy, odkąd zasiedli przy stole. - Ma dłonie jak przepecone skarpety, a z ust zalatuje mu starym żarciem dla psów.

- Karen! - oburzyła się jej matka. - Nie wolno ci tak mówić o Anthonym. Państwo Palermo to jedna z najbogatszych i najbardziej szanowanych rodzin w Chicago. Pamiętaj o tym!

Nadaśana Karen ponownie umilkła. Po posiłku Doreen zaprowadziła gości do salonu, gdzie pod siedmiometrowej wysokości złoto-srebrną choinką piętrzyła się góra prezentów. Karen uklękła i przystąpiła do zrywania papieru z paczek. Jack wyciągnął spod drzewa wąskie, płaskie pudełko i wręczył je siostrze.

Doreen usadowiła się w wielkim, czerwonym fotelu i powściągliwie odpakowała upominek. Gdy jednak ujrzała zawartość kasetki od jubilera, jej zazwyczaj zimne, szare oczy wyraźnie się rozpromieniły.

- Mhm - mruknęła z aprobatą.

Po drugiej stronie pokoju zapadła cisza. Karen w milczeniu podeszła i zajrzała matce przez ramię.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła, zapatrzona na szmaragdowo-rubinowy naszyjnik. - Wujku, musiałeś wydać majątek!

Doreen zacisnęła usta.

- Karen, opanuj się.

Dziewczyna zwiesiła głowę i powlokła się z powrotem pod choinkę. Otworzyła następny prezent: notebook od Jacka. Z obojętną miną natychmiast odłożyła go na bok.

Doreen nie spuszczała oka z córki.

- Karen - warknęła. - Co powinnaś powiedzieć wujkowi?

- Dziękuję, wujku - wyrecytowała dziewczyna z entuzjazmem godnym zombie. Dookoła wałały się prezenty, które dostała: sterty modnych ubrań, sprzęt tenisowy, narty, biżuteria, kilka torebek, buty. - To już wszystko? - jęknęła i z niedowierzaniem obeszła choinkę.

- Karen, nie podoba mi się twój ton - syknęła Doreen. - Ani twoja mina. Jeśli nie jesteś w stanie zachowywać się uprzejmie, idź do swojego pokoju.

- Nie ma sprawy - burknęła Karen i z notebookiem pod pachą wymaszerowała z salonu.

- Nie rozumiem, co się dzieje z tą dziewczyną - oświadczyła Doreen głośno, zanim jej córka zdążyła dojść do drzwi. - Ciągle jej powtarzam, że powinna być dla ciebie miła. Trudno jednak się dziwić jej rozczarowaniu. Co ci przyszło do głowy, by kupić jej komputer?

Jack zmarszczył brwi i powiódł wzrokiem za wychodzącą z pokoju siostrzenicą.

- Na Święto Dziękczynienia mówiła, że potrzebuje nowego notebooka.

- Trzeba było porozmawiać ze mną. Mamy już komputer.

Dziewczęta w jej wieku wolą kobiece prezenty, choćby biżuterię.

Jack doskonale pamiętał rozmowę, którą podsłuchał podczas poprzedniej wizyty. Karen skarżyła się komuś przez telefon, że koniecznie potrzebuje nowego komputera.

- Chyba nie doceniasz Karen - mruknął. Doreen zeszywniała.

- Wydaje mi się, że mam więcej do powiedzenia na temat tego, co lubi moja córka, a czego nie cierpi. Jesteś tylko jej wujkiem, praktycznie jej nie znasz.

To prawda. Jako dziecko, Karen była mu bliższa. Zawsze uważał ją za pogodną, dowcipną i ciekawską dziewczynkę. Gdy podrosła i została nastolatką, wyraźnie się zmieniła. Przybyło jej dwadzieścia pięć centymetrów i stała się wysoką, szczupłą brunetką o bladej cerze i nieprzyjaznych, brązowych oczach.

- Obawiam się, że dobrała sobie nieodpowiednich przyjaciół - westchnęła Doreen. - Mają na nią fatalny wpływ. Ojciec jednej z dziewcząt jest kierowcą ciężarówki! Ach, gdybym tylko mogła posłać ją do przyzwoitej szkoły...

- Stać cię na to. - Jack wzruszył ramionami i podszedł do choinki, pod którą cały czas wały się prezenty Karen. - Wystarczy chcieć.

Doreen niemal upuściła naszyjnik. Raptownie zamknęła pudełko i popatrzyła gniewnie na brata.

- Nawet nie wiesz, jak to jest, kiedy umiera ukochany partner, a ty zostajesz skazany na życie w biedzie...

- Daj spokój, Doreen. - Jack trącił nogą raketę tenisową, pochylił się i ją podniósł. Zamachnął się wprawnym ruchem. Lekka, idealnie wyważona rakietka ze świstem przecięła powietrze. - Grant rozwiódł się z



tobą na długo przed tym, zanim umarł. Poza tym nieźle zapłacił, żeby się ciebie pozbyć. Gdyby miał trochę rozumu, nie zgodziłby się na ślub bez intercyzy.

- Przenigdy nie zgodziłabym się na takie upokorzenie. Gdyby wspomniał o intercyzie, śmiertelnie bym się na niego obraziła. Poza tym należał mi się każdy cent, który otrzymałam po rozwodzie. To nie moja wina, że się zakochał w tej małej dziwce. Wystarczy spojrzeć na Wisnewski Industries. To niesprawiedliwe, że ojciec zostawił firmę tobie... Na litość boską, możesz wreszcie przestać wywijać tą rakietą? Te ozdoby to kryształy od Lennox, kosztowały majątek. Wkurzysz mnie, jeśli któryś stłuczesz.

- Firma zbankrutowała.

Uwaga Jacka skutecznie odwróciła uwagę Doreen od kwestii bezpieczeństwa kryształów.

- Ależ skąd, to były tylko przejściowe trudności - obruszyła się. - Teraz zarabia miliony.

- Jako główny udziałowiec otrzymujesz lwią część tych pieniędzy. Dobrze o tym wiem, sam podpisuję czek.

Sapnęła poirytowana.

- Dywidendy są tak marne, że ledwie udaje mi się żyć na odpowiednim poziomie. Jak tak dalej pójdzie, to nigdy nie zdołam wpisać się do Rejestru Towarzyskiego.

- Cóż to takiego, u licha?

- Rejestr Towarzyski to księga, w której znajduje się spis nazwisk rodzin z elity. To takie zestawienie nazwisk ludzi, których warto znać, dajmy na to rodziny Palermo. Wszyscy oni dysponują określonym zapleczem...

Jack nie wierzył własnym uszom.

- Nasi dziadkowie wywodzą się z polskich chłopów. Czy takie zaplecze masz na myśli?

- Pochodzenie to tylko jeden z warunków, które bierze się pod uwagę. Istnieją jeszcze inne sposoby, by dołączyć do śmietanki. Można choćby założyć instytucję charytatywną. Ethel stworzyła fundację na rzecz orkiestry symfonicznej.

- Nie cierpisz muzyki klasycznej.

Doreen zacisnęła dłonie na poręczach krzesła.

- To ty nie przepadasz za muzyką, wiadomo, ale to nie oznacza, że inni również są jej wrogami.

- Już dobrze... - Wzruszył ramionami. - Jeśli masz ochotę sponsorować orkiestrę, bardzo proszę. Tylko mnie w to nie mieszaj.

Na policzki siostry wystąpiły rumieńce.

- W ogóle nie powinnam cię o to prosić. Zdumiewające, że nie przyszło ci do głowy, aby wesprzeć tak szlachetny cel. Odrażające zdjęcie ciebie z tą... tancerką niewątpliwie poważnie naruszyło mój wizerunek w oczach członków komitetu Rejestru Towarzyskiego.

- Doreen, powiedziałem, że nic z tego.

- Doskonale. - Wokół jej zaciśniętych ust pojawiły się promieniste zmarszczki. - Nie zamierzam się z tobą kłócić. Jeśli nie pomożesz mi przy zakładaniu fundacji, pozostanę przy swoich dotychczasowych zajęciach w Lidze Kobiet. Wspomniałam ci, że Nina Lachland znajduje się wraz ze mną w komitecie zbierania funduszy? Sporo mi opowiada o interesach męża. Wiem od niej, że Wisnewski Industries usiłuje wykupić Lachland Company. To dla mnie nowina.

Jack tylko z pozoru wydawał się spokojny i odprężony.

- I co z tego? .

- Czy wiedziałeś, że jeszcze jedna firma interesuje się przejęciem przedsiębiorstwa Lachlandów? Mąż Niny nie przepada za tą firmą...

Ogremark.

- Agramark.

- Ogremark, Agramark, wszystko jedno. Może jednak zmienić zdanie, dowiedziawszy się, że masz problemy ze znalezieniem źródła finansowania zakupu.

Jack przestał kołysać rakieta.

- Doreen, czyżbyś usiłowała mnie szantażować? - spytał bardzo cicho.

- Ależ skąd. - Uśmiechnęła się promiennie. - Dlaczego ci to przyszło do głowy?

Jack nie odwzajemnił jej uśmiechu. Przejęcie Lachland stanowiło oś, wokół której obracał się jego plan rozbudowy Wisnewski Industries. Niestety, Agramark Inc., firma podległa holdingowi Calvin G. Hibbert, również wzięła na cel małe przedsiębiorstwo transportu morskiego. Holding miał przewagę: dysponował ogromnymi zasobami finansowymi, koneksjami z liczącymi się na rynku graczami, zatrudniał doskonałych prawników. Pomimo to Jack był zdecydowany przeprowadzić transakcję i niewiele już brakowało do jej finalizacji.

Pod warunkiem że Doreen nie pokrzyżuje mu planów.

Jak, u licha, udało się jej dowiedzieć o jego tarapatach finansowych? Popatrzył na nią przenikliwie.

- Ostrzegam cię, Doreen, nie wtrącaj się do moich spraw zawodowych.

- Myślisz tylko o pracy - oznajmiła oskarżycielskim tonem. - Pora, żebyś zrobił coś wartościowego dla rodziny. Czy proszę o zbyt wiele? Nie oczekuję od ciebie poświęceń, wystarczy, że dofinansujesz moją fundację.

- I na tym koniec? - spytał ironicznie.

- Właściwie nie. Dobrze, że pytasz, bo potrzebuję specjalisty z Wisniewski Industries, który w moim imieniu zajmie się drobiazgami organizacyjnymi. Sam rozumiesz, jestem słabego zdrowia.

W gruncie rzeczy, Doreen była zdrowa jak koń. Miała podobną do Jacka budowę kości, duże dłonie i stopy. Jeszcze nie tak dawno temu była pulchna, apetyczna w przyziemny sposób. Po ślubie z Grantem Tarringtonem straciła jednak parę centymetrów tłuszczu, aby wyglądać bardziej delikatnie. Niestety, z powodu utraty wagi zaczęła się prezentować nieprzyjemnie surowo i bezwzględnie.

- Ponadto oczekuję, że powstrzymasz się od dalszego torpedowania moich wysiłków. Chcę zostać członkiem Rejestru. - Doreen coraz bardziej się rozkręcała. - Przestań spotykać się z lafiryndami i znajdź sobie jakąś przyzwoitą, godną szacunku dziewczynę. Choćby Amber Bellair. Wczoraj z nią rozmawiałam i doszliśmy do wniosku... - Zawiesiła głos.

- Do jakiego wniosku doszłyście? - spytał Jack cicho.

- Nie mów do mnie takim zgryźliwym tonem! Uznałyśmy obie, że sprawiasz wrażenie samotnego.

Zacisnął dłoń na rękawie. Przypomniał sobie, ile pracy i wysiłku włożył w operację przejęcia Lachland Company. Po podpisaniu stosownych umów mógłby wreszcie się nieco odprężyć. Nie chciał, by tyle czasu poszło na marne. Nie zamierzał jednak również ustępować tej manipulatorce.

- Jedyne problem w tym, że Ethel może się nie spodobać mój pomysł. Ostatecznie, nasze fundacje miałyby ten sam profil - westchnęła Doreen i postukała wypielegnowanymi paznokciami o poręcz krzesła. - Ethel potrafi zachować się mściwie. Jest nawet zdolna do tego, by zablokować moją nominację do Rejestru. Chyba powinnam wspierać inną dziedzinę kultury, choćby balet albo sztukę. A gdybym tak otworzyła galerię? Na przykład na Michigan Avenue.

- Galerię?

- No tak. Prezentowałabym dzieła twórców, których bym wspierała. Dobrałabym sobie grono młodych, obiecujących artystów, rekomendowanych przez Instytut. Nie żadnych niewydarzonych odszczepieńców, tylko solidne, młode osoby o prawdziwym talencie...

Doreen mówiła dalej, lecz Jack jej nie słuchał. Przypomniała mu się kobieta, która zwróciła naszyjnik. Nazywała się Eleanor Hernandez. Co takiego powiedziała? „Pracuję w galerii... specjalizujemy się w sztuce współczesnej... proszę kiedyś wpaść, jeśli przyjdzie panu ochota kupić coś odrobinę wyższych lotów.”

- Jack, chyba mówię rozsądnie, co? - spytała Doreen. - Stać cię na udzielenie mi pomocy. Jestem twoją jedyną siostrą...

- Zgoda.

Doreen otworzyła usta ze zdumienia.

- Wspomożesz mnie? - spytała ze zdumieniem.

- A mam wybór?

- Nie masz - przyznała. - Choć raz zrobisz to, co chcę.

Każdy biznesmen, który choć trochę znał Wisnewskiego, od razu nabrałby podejrzeń. Ten człowiek nie miał w zwyczaju ustępować bez

walki. Doreen uśmiechnęła się jednak, oszołomiona wizją swojego nazwiska w Rejestrze Towarzyskim.

Nawet nie zauważyła, że brat poprawił w dłoni raketę i mocno, ze świstem uderzył nieistniejącą piłeczkę.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- To twoja najlepsza praca w dorobku. Tomowi Scarlattiemu pojaśniały oczy, ukryte za grubymi, okrągłymi szklami okularów.

- Naprawdę tak uważasz, Ellie? Mój współlokator oświadczył, że dwulatki lepiej malują.

Ellie oparła płótno o ladę w galerii. Choć pozowała Tomowi do tego portretu, nie dostrzegła w nim ani odrobiny podobieństwa do siebie. Zaokrąglone linie i intensywne barwy stwarzały wrażenie przyciągającej wzrok przestrzeni i harmonii.

- Twój współlokator jest inżynierem - przypomniała mu cierpliwie. - Nie ma pojęcia o sztuce.

- To fakt - zgodził się Tom i odetchnął z ulgą. - Moim zdaniem *Kobieta w błękitach* jest całkiem udana. Szkoda, że muszę ją sprzedać.

- Mogę do niej przykleić nalepkę „Nie na sprzedaż” - zasugerowała. - Ale pamiętaj, że masz szansę dostać za nią dobrą cenę.

Tom delikatnie pogłaskał skraj płótna.

- Pieniądze są mi potrzebne - westchnął z żalem. - Właściciel mieszkania grozi mi eksmisją. To bardzo niemiły człowiek, w ogóle nie rozumie sztuki...

Przy wejściu do galerii Vogel zadzwonił dzwonek. Tom umilkł i skierował wzrok na drzwi. Ellie odwróciła się z uśmiechem, lecz na widok gościa osłupiała.

Od razu rozpoznała Jacka Wisnewskiego.

Po co tutaj przyszedł? Minał tydzień od sceny w gabinecie, o której Ellie chciałyby jak najszybciej zapomnieć. Czek, który od niego otrzymała, nadal spoczywał w szufladzie z rupieciami. Nie potrafiła się zmusić do spieniężenia go, nawet jako bezlitosna biznesmenka.

Za każdym razem, gdy myślała o Wisnewskim, przypominał jej się brzydki naszyjnik oraz wizyta w firmie Wisnewski Industries. Właściciel potraktował ją nieuprzejmie i czuła, że nigdy mu nie wybaczy.

- Przepraszam - mruknęła do Toma i wyszła z za lady.

Tom ruszył do drzwi wyjściowych.

- Lepiej już pójdę - wymamrotał.

Ellie omal nie chwyciła go za rękę, gdyż wolałyby nie zostawać sam na sam z opryskliwym milionerem. Nie mogła jednak zmuszać Toma do czegoś, na co nie miał ochoty. Cierpiał na chorobliwą nieśmiałość, a doskonale ubrany, wpływowy biznesmen był typem, którego Tom się obawiał najbardziej.

- Dobry wieczór panu - powitała Jacka. Starła się mówić uprzejmie, lecz chłodno. Z trudem udawało się jej zebrać myśli, przez cały czas chodziło jej po głowie, że powinna była inaczej się ubrać: miała na sobie czerwony sweter z kaszmiru z tendencją do mechacenia, krótką, czarną spódniczkę, czarne rajstopy i ciężkie platformy. - W czym mogę pomóc?

Przyjrzał się jej z uwagą. Ze złością pomyślała, że pewnie zamierza znowu jej doradzać w sprawie strojów.



- Tylko się rozglądam - wyjaśnił i popatrzył na płaski, szklany pojemnik zapchany brudami i śmieciami. - Zatem to jest sztuka wyższych lotów. Bardzo imponujące.

Zjeżyła się, słysząc ironię w jego głosie. Przeciętny odbiorca sztuki rzadko kiedy potrafił zrozumieć kreatywność i zręczność współczesnych artystów. Przy pierwszej wizycie w galerii mnóstwo ludzi chichotało i z pogardą patrzyło na dzieła. Kiedy jednak Ellie porozmawiała z gośćmi o ekspozycji i koncepcji artysty, prace wyraźnie zyskiwały w ich oczach.

Wisnewskiemu nie zamierzała nic tłumaczyć. Po co miałyby tracić czas? To jasne, że przyszedł się z niej nabijać. Czy naprawdę nie miał nic ciekawszego do roboty?

Najwyraźniej nie.

Podszedł do jednego z dzieł i wbił w nie wzrok.

Jego wybór padł na starą pompę do wody, osadzoną na akwarium wypełnionym żarówkami. Z kranu urządzenia również wystawała żarówka. Jack uniósł ciemne brwi.

Jego mina wyprowadziła Ellie z równowagi.

- Zamykamy - oznajmiła chłodno. - Zapraszam innego dnia.

- Zabawię tu tylko kilka minut - zapowiedział, po czym zaczął się przechadzać po galerii, jakby nigdy nic. Z jego ust nie zniknął ironiczny uśmieszek, taki sam jak w gabinecie. Raz nawet roześmiał się głośno na widok rzeźby gigantycznego karalucha, wykonanego przez Bernice z przetworzonych odpadów.

Na koniec zatrzymał się przed ladą i popatrzył na pozostawiony przez Toma obraz.

- Biorę ten.

Zamrugnęła, zastanawiając się, czy źle zrozumiała.

- Chce pan kupić *Kobietę w błękitach*?
- Owszem. - Podniósł brwi. - Źle wybrałem?
- Skąd - zaprzeczyła pośpieszenie. - Po prostu mnie pan zaskoczył.

Dlaczego wybrał pan właśnie ten obraz?

- Czy wszyscy klienci muszą się przed panią tłumaczyć z  
dokonanego wyboru?

- Nie, nie wszyscy. Większość moich klientów ceni sobie sztukę  
współczesną.

- Pani zdaniem nie należę do tej większości?

Może zbyt pochopnie mnie pani oceniła? - Wyciągnął portfel z  
wewnętrznej kieszeni płaszcza i podał Ellie platynową kartę kredytową. -  
Czy może pani dostarczyć obraz do mojego gabinetu? Ellie ani drgnęła.

- *Kobieta w błękitach* kłóci się z wystrojem pańskiego biura. Może  
wolałby pan coś innego? Coś, co bardziej pasowałoby do pańskiej  
osobowości? - Jej spojrzenie na ułamek sekundy spoczęło na wielkim  
karaluchu.

Jack popatrzył w tym samym kierunku i jego oczy pojaśniały. Ellie  
nie była w stanie stwierdzić, czy jej słowa go rozbawiły, czy rozgniewały.  
Miała nadzieję, że go wkurzyła. Jack jednak nie wyrwał jej karty z ręki.

- Wolę to.

Nie wierzyła, że przyszedł do galerii na zakupy, a poza tym nie  
chciała mu sprzedawać tego obrazu. Była pewna, że ktoś taki jak Jack  
Wisnewski nie jest w stanie docenić walorów dobrego dzieła.

Zamierzała odesłać go z kwitkiem, gdy nagle przypomniało się jej,  
że miała postępować jak biznesmenka. Galeria oraz Tom ogromnie  
potrzebowali tych pieniędzy.

Westchnęła i sprawnie przeprowadziła transakcję.

- Dziękuję panu - wykrztusiła z trudem. - Obraz dotrze do pana jutro rano.

- Świetnie. - Zerknął na zegarek. - Muszę z panią o czymś porozmawiać, ale wiem, że zaraz pani zamyka. Czy może zechciałaby pani wybrać się ze mną na kolację? Przedyskutowalibyśmy pewną sprawę.

Znieruchomiała. Czyli jednak nie przyszedł po obraz!

- Nie.

- To ważne. - Nie zwrócił najmniejszej uwagi na jej odmowę. - Rzecz dotyczy galerii.

- Czy mógłby pan wyrażać się jaśniej? - Nawet nie próbowała ukrywać zniecierpliwienia.

- Niech pani zje ze mną kolację, to wszystko wyjaśnię.

- Wolę wysłuchać pana tutaj, na miejscu.

- Na głodnego nigdy nie rozmawiam o interesach.

Jego uśmiech jeszcze bardziej rozbudził jej podejrzenia, bo niemal go odwzajemniła. Jack Wisnewski z pewnością świetnie wiedział, jak taki właśnie uśmiech działa na kobiety!

- Skoro pani nie jest zainteresowana, poszukam innej galerii - westchnął, nie doczekawszy się odpowiedzi, i ruszył do drzwi.

- Proszę zaczekać.

Przystanął, a Ellie przygryzła wargę. Doskonale wiedziała, że chytry biznesmen nią manipuluje, lecz ciekawość wzięła górę.

- Ubiorę się i zamknę galerię - mruknęła.

Tego wieczoru Jack nie przyjechał limuzyną, lecz wielkim, czarnym mercedesem ze skórzaną tapicerką. Ellie nie zwróciła większej uwagi na luksusowe wnętrze pojazdu.

- O co chodzi z tą sprawą galerii? - spytała w drodze. - Ma pan ochotę kupić jeszcze jeden obraz?

- Niezupełnie, - Skreślił za rogiem i ominął stertę śniegu, która osypała się z chodnika na jezdnię. - Czy jest pani właścicielką tej galerii?

- Nie, jest nim pan Vogel.

- Och, wobec tego chyba powinienem porozmawiać z nim, nie z panią.

- Od czasu śmierci żony pan Vogel nie interesuje się sprawami galerii. To starszy pan i doskwierają mu problemy zdrowotne, więc w jego imieniu kieruję galerią. Cieszę się jego całkowitym zaufaniem.

- Doprawdy? Wobec tego moje wątpliwości były całkiem nieuzasadnione - odparł lekko drwiącym tonem. - Przepraszam, ale muszę się skupić na kierowaniu. Wszystko wyjaśnię przy kolacji.

Wyjaśnienie wydawało się logiczne. Jezdnię pokrywała warstwa lodu i śniegu, a intensywny śnieg z deszczem znacznie ograniczał widoczność. Mimo to Ellie nie uwierzyła w słowa Jacka.

W restauracji kelner szybko znalazł dla nich stolik nakryty białym obrusem, z porcelanową i kryształową zastawą,

- Była tu już pani kiedyś? - spytał Jack.

- Nie. Możemy przejść do rzeczy?

Sięgnął po listę win.

- Zawsze jest pani taka niecierpliwa?

- Tylko wtedy, gdy ktoś niepotrzebnie zwleka z wyłożeniem kawy na ławę.

Jego oczy ponownie pojaśniały.

- Rozkręcam fundację rozwoju sztuki i szukam artystów, których mógłbym sponsorować, a także galerii, gotowej wystawiać ich dzieła. Moim zdaniem galeria Vogel świetnie się do tego nadaje.

Ellie poprawiła się na krześle, jej serce mocniej zabiło. Fundacja artystyczna mogła całkowicie odmienić sytuację galerii. Zastrzyk pieniędzy dałby jej możliwość zatrudnienia fotografików, umieszczenia reklam w drogich czasopismach. Galerią zainteresowałiby się krytycy i kolekcjonerzy, którzy mogliby w krótkim czasie rozślawić nazwisko artysty, takiego jak Tom. Poza tym wymieniłaby oświetlenie, naprawiła windę i założyła lapidarium na dachu, jak to sobie wymarzyła...

Do stołu podszedł kelner. Ellie postanowiła zostawić wybór potraw Jackowi. Nieustannie rozmyślała o tym, jak go przekonać, by wybrał właśnie jej galerię.

Po chwili kelner uklonił się i odszedł, a ona pochyliła się ku Jackowi.

- Galeria Vogel byłaby rewelacyjna - zauważyła z zapalem. -  
Naszym celem jest tworzenie odpowiedniego klimatu dla sztuki progresywnej.

Poszukujemy niekonwencjonalnych rozwiązań o silnych fundamentach konceptualnych i teoretycznych. W innych galeriach nie znajdzie pan tego typu prac. Nasi artyści są kreatywni i nie stronią od innowacji. Na przykład Tom Scarlatti, którego widział pan w sali ekspozycyjnej, namalował zakupione przez pana płótno. Przepraszam, że go panu nie przedstawiłam, ale jest trochę nieśmiały...

Do stołu podszedł kelner i Jack skupił się na wyborze wina do posiłku, więc Ellie mogła kontynuować dopiero po paru minutach.

- Przy odpowiednim wsparciu Tom z pewnością mógłby zaistnieć w świecie sztuki współczesnej...

- Zdaje się, że ma pani wysokie mniemanie o tym człowieku - przerwał jej.

- Owszem. - Sięgnęła po kieliszek. - To błyskotliwy artysta, genialny twórca...

- Czy to pani facet?

Ellie zamarła z kieliszkiem wzniesionym do ust.

- Nie - odparła ostrożnie. - Dlaczego pan pyta?

- Z ciekawości. Chyba ma pani jakiegoś... bliskiego przyjaciela?

- To nie pańska sprawa - burknęła i odstawiła kieliszek. - Ale nie mam. W tej chwili nie jestem zainteresowana budowaniem związku.

Kąciki jego ust drgnęły, jakby usiłował powstrzymać uśmiech.

- Woli pani skoncentrować się na karierze? To zaskakujące.

- Dlaczego?

- Bo dla większości kobiet najważniejszą sprawą w życiu nadal pozostaje znalezienie męża. Na pewno ważniejszą niż problemy zawodowe.

Nie spodobała się jej ta zawoalowana krytyka kobiet.

- Czyżby? - prychnęła. - A ja sądziłam, że jest na odwrót. Większość mężczyzn staje na głowie, aby wziąć ślub. Szczególnie zdesperowani są starsi faceci, w pana wieku.

Wyprostował się nieznacznie.

- Mam dwadzieścia dziewięć lat - zauważył oschle.

- Doprawdy? - Opuściła głowę, aby ukryć uśmiech, i wzięła do ręki kieliszek.

Zapadła chwilowa cisza, podczas której Ellie raczyła się winem.

- Jestem co najwyżej rok lub dwa starszy od pani - dodał Jack nieoczekiwanie.

Ellie raptownie odstawiła kieliszek. Nie zdążyła jednak nic powiedzieć, bo zjawił się kelner i postawił na stole zamówioną potrawę.

- Pory gotowane we własnym sosie - oznajmił z namaszczeniem.

- Tego nam było trzeba - oświadczył Jack głucho. Ellie roześmiała się mimowolnie.

- Mam dwadzieścia cztery lata - wyznała. - Co zaś się tyczy galerii...

Pokręcił głową.

- Nie musi mnie pani dodatkowo zachęcać. Już podjąłem decyzję.

Wybrałem galerię Vogel.

Przez chwilę sądziła, że się przesłyszała. Dopiero po paru sekundach pojaśniały jej oczy. Galeria była uratowana! Miała ochotę tańczyć na stole, śpiewać na cały głos, pocałować Jacka Wisniewskiego w usta...

Jego spojrzenie spoczęło na jej wargach, zupełnie jakby potrafił czytać w myślach.

W tej samej chwili jej radość uleciała, uśmiech znikł z ust. Czego od niej chciał ten człowiek? Najpierw potraktował ją ohydnie na ulicy, potem grubiańsko obraził we własnym gabinecie. Był aroganckim, chciwym biznesmenem, zdolnym wyłącznie do sporządzania rachunków zysków i strat. O co mu właściwie chodziło?

Kelner przyniósł następne potrawy. Ellie zaczekała, aż sobie pójdzie, i dopiero wtedy spytała cicho:

- Czego pan oczekuje w zamian?

Jack uraczył się jagnięciną i przez pewien czas starannie przeżuwał.

- Dziwne pytanie - zauważył w końcu. - Dlaczego ludzie zakładają fundacje artystyczne?

- Bo kochają sztukę.

- A pani uważa, że ja nie kocham sztuki? - Podsunął jej zapiekany groszek, ale pokręciła głową. - Powiedziałem, żeby nie osądzała mnie pani pochopnie.

Nie rozumiała, dlaczego Jack nie chce grać w otwarte karty.

- Dlaczego zainteresowała pana moja galeria? - spytała wprost. - Nawet mnie pan nie lubi.

Uniósł brwi.

- Skąd to pani przyszło do głowy? - zdumiał się.

- Gdy zwróciłam naszyjnik, potraktował mnie pan nieuprzejmie.

- Przepraszam, rzeczywiście zachowałem się opryskliwie. Rzecz w tym, że kobiety często nachodzą mnie w określonym celu.

- Chcą zobaczyć wspólne zdjęcie w gazetach? - domyśliła się Ellie.

- Chcą za mnie wyjść.

Ellie zakrztusiła się kozim serem. Ten biedny mężczyzna najwyraźniej cierpiał na poważne schorzenie medyczne: urojenia. Innymi słowy, milioner miał ostrą paranoję.

- Zareczam, że nie interesuje mnie ślub z panem - oznajmiła.

Uśmiechnął się cynicznie.

- Właśnie dlatego wybrałem pani galerię. Jest pani na tyle uczciwa, aby przyznać, że interesują panią pieniądze.

Rozchyliła usta, lecz zamknęła je z powrotem. Wątpiła, by dał się przekonać jej zaprzeczeniom. Gdyby zaczęła go wyprowadzać z błędu, zapewne oskarżyłby ją o to, że usiłuje go w sobie rozkochać. Wyobraźnia chorego człowieka nie zna zahamowań.

- Czym będzie się zajmowała pańska fundacja? - spytała ostrożnie.

- Tym, czym zwykle zajmują się tego typu instytucje. Organizacją wystaw czy też pokazów dzieł artystów - podopiecznych fundacji. Jutro



przyślę do galerii asystentkę. Chciałbym, aby przekazała jej pani informacje o tym, co należy zrobić, co zmienić. Ponadto prosiłbym, aby wraz z nią opracowała pani plan dyskretnej aukcji, która odbyłaby się w najbliższym czasie w domu mojej siostry. Rzecz jasna, pani dokonałaby wyboru eksponatów.

Ellie wypłała łyk wina i zastanowiła się, których artystów powinna zaproponować. Bez wątplenia Toma i Bernice. Może jeszcze Carla Bustamentego...

- Co oczywiste, zajmie się pani zorganizowaniem aukcji - kontynuował Jack. - Poza tym w sobotę chcę panią zabrać na koncert symfoniczny.

- Koncert! - Odstawiła wino. - Rozumiem, że mam się zająć aukcją, ale po co mam iść na koncert?

- Przedstawię panią kolekcjonerom dzieł sztuki. W filharmonii zjawi się ich niemało.

- Może lepiej by było przyprowadzić ich do galerii?

- Kieruję dużą firmą. Nie mam czasu na dowożenie poszczególnych osób.

Słowa Jacka zabrzmiały sensownie, choć Ellie i tak podejrzewała, że fundacja to tylko wymyślona przez milionera przykrywka jego innych działań. Może chciał się z nią przespać? Mało prawdopodobne. Był bogaty i całkiem atrakcyjny. Z pewnością zdołałby znaleźć kobietę, która przymknęłaby oko na jego nieciekawą osobowość. Zapewne szukał czegoś, co pozwoliłoby mu na spore odpisy podatkowe. A może w głębi duszy czuł się niespełnionym artystą i potrzebował miejsca na wystawienie swoich malowanek...

Nagle Ellie drgnęła i niemal przewróciła kieliszek z winem. Do głowy przyszła jej upiorna myśl.

- Jeśli chodzi o ten portret z pańskiego gabinetu - zaczęła niepewnie.
- Portret Lilly Lade... Czy to pan go namalował?

Jack nie krył zaskoczenia.

- Wielkie nieba, skąd - zaprzeczył stanowczo.
- Skąd to pani przyszło do głowy?
- Sama nie wiem - skłamała i odsunęła się od stołu, aby kelner mógł zabrać talerz.

Jej przerażenie powoli mijało, choć nie potrafiła się całkiem uspokoić. Wiedziała, że Martina kazałaby jej oblepić ściany galerii setkami portretów Lilly Lade, gdyby Jack zażądał tego w zamian za współpracę. Ellie nie potrafiłaby się na to zdobyć. Nawet milioner nie miał prawa niszczyć jej galerii.

- Zgodzę się na pańską propozycję, ale pod kilkoma warunkami.
- Mianowicie?
- Po pierwsze, muszę zachować całkowitą kontrolę nad kierunkiem rozwoju galerii. Chcę mieć prawo ostatecznego głosu w sprawie doboru ekspozycji. W galerii nie znajdzie się nic, czego osobiście nie zaakceptuję.
- Nie ma sprawy - odparł bez namysłu. - Nie chcę zmieniać wizerunku galerii. W tej chwili jest idealna.

Popatrzyła mu uważnie w oczy, ale nie dostrzegła w nich ani śladu sarkazmu.

- Po drugie, nasze porozumienie ma charakter wyłącznie biznesowy.
- To oczywiste.
- Zatem akceptuje pan warunki umowy?

- Tylko dwa? Na pewno nie chce pani umieszczenia swojego nazwiska w Rejestrze Towarzyskim?

Przez moment usiłowała się domyślić, co on znowu wygaduje.

- Czy mógłby pan mówić jaśniej?

- Nieważne. Owszem, przyjmuję pani warunki.

- Wobec tego przyjmuję pańską propozycję - oznajmiła uroczystym tonem.

- Miło mi.

Jego słowa zabrzmiały nieco ironicznie, lecz nie udało się jej ukryć uśmiechu.

Natychmiast jednak spoważniała, przypomniawszy sobie, że ma do czynienia z Jackiem Wisnewskim, człowiekiem niesympatycznym i nieżyczliwym. Komuś takiemu nie wolno ufać. Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że Wisnewski coś knuje, że ma jakieś ukryte motywy.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Jack nie cierpiał filharmonii. Gdy z jakiegoś powodu czuł się w obowiązku iść na koncert, zwykle towarzyszyły mu Doreen albo Amber, lecz bawiły się równie marnie, jak on. Amber udawała, że lubi muzykę, ale z wysokości łoży zawsze chętniej gapiała się na publiczność niż na orkiestrę. Doreen, którą Jack podejrzewał o całkowity brak słuchu muzycznego, zwykle zasypiała w połowie wykonania. Podczas antraktu żadna z nich słowem nie wspominała o muzyce. Wolały rozmawiać o cenach designerskich sukienek i biżuterii.

W takiej sytuacji ze zdumieniem się zorientował, że Ellie nie tylko słucha muzyki, lecz w dodatku jest wyraźnie skupiona. Drobna, krucha dziewczyna wyglądała rewelacyjnie, poczawszy od starannie ułożonych loczków, skończywszy na obcisłej, srebrnej sukience.

- Zawsze lubiłam tego dyrygenta - wyznała podczas przerwy, gdy szli w kierunku holu. - Nikt inny nie potrafi tak sprawnie zmobilizować orkiestry do gry.

- Zna się pani na muzyce klasycznej?

- Lubię muzykę, ale interesuję się nią tylko amatorsko. - Wzruszyła ramionami. - Sporo czasu minęło, odkąd ostatni raz zawitałam do filharmonii. Czasami słucham radia. A pan? Jest pan stałym bywalcem koncertów?

- Sporadycznym. - Sukienka Ellie zaśniła w blasku żyrandola, przykuwając uwagę przechodzących nieopodal mężczyzn. Jack wziął dziewczynę za łokieć i poprowadził do barku. - Niektórzy moi kontrahenci

sponsorują orkiestrę. Muszę się tutaj pojawić raz na jakiś czas. Może kieliszek szampana?

- Zdarza się panu zrobić coś dla przyjemności? - spytała z ciekawością.

- Jeśli się chce coś osiągnąć w interesach, na przyjemności brakuje czasu - wytłumaczył zwięźle.

- Gra toczy się o wysoką stawkę. Kto sobie nie daje rady, ginie w nieprzyjaznym środowisku.

Przyjęła lampkę szampana, ale nie upiła ani łyka.

- Słowem, chodzi o pieniądze? - dopowiedziała. Skinął głową.

Skrzywiła się z niesmakiem, lecz zanim zdążyła sformułować myśl, ktoś donośnym głosem wypowiedział imię Wisnewskiego. Odwrócił się i ujrzał przeciskającą się przez tłum Ethel Palermo. Za nią sunął jej mąż George, człowiek kruchy, drobnej budowy. Jack westchnął bezgłośnie, lecz uprzejmie przedstawił Ellie państwu Palermo. Ethel ledwie na nią spojrzała.

- Jest tutaj pańska siostra? - zapytała bezceremonialnie.

- Nie widziałem jej.

- Hm - mruknęła Ethel z dezaprobatą. - Dzisiaj po południu z nią rozmawiałam. Oznajmiła, że jutro wypływa w rejs i musi się spakować. Przypomniałam jej, jak ważną sprawą jest wspieranie filharmonii, więc podkreśliła, że obiecała mi, że spróbuje przyjść.

- Może cierpi na ból głowy - powiedział Jack. - Migreny często ją dopadają w najmniej oczekiwanych chwilach. - Nie dodał, że Doreen jest na nie podatna szczególnie przed trzygodzinnym koncertem muzyki klasycznej.

- Hm. - Ethel poprawiła wysadzany brylantami diadem, wetknięty w siwe włosy, i uważnie obejrzała Ellie. - Eleanor Hernandez? Nigdy o pani nie słyszałam.

Ellie uśmiechnęła się do niej szczerze.

- Nie miała pani powodu słyszeć - oznajmiła.

Ku zaskoczeniu Jacka bez trudu kontynuowała rozmowę ze starszą panią. Po kilku minutach Ethel zwracała się do niej po imieniu i skarżyła się na trzech synów - niewdzięczne lenie - i na córkę - jedno rozczarowanie za drugim. Wychwalała tylko wnuczeta - niesamowicie śliczne, inteligentne i utalentowane. Gdy Ethel ujawniła, że najstarszy wnuczek ma zdolności plastyczne, Ellie napomknęła o swojej galerii i wymieniła kilka praktycznych sztuczek, mających na celu zainteresowanie dziecka sztuką.

- Talent często się dziedziczy, niemniej należy go starannie pielęgnować - podkreśliła z powagą. - Czy pani lub pani mąż macie twórcze zdolności?

Ethel ochoczo przytaknęła.

- Zawsze uwielbiałam sztukę, a George gra na skrzypcach.

Ellie z uśmiechem odwróciła się do starszego pana.

- Naprawdę? Mój ojciec również był skrzypkiem. Co pan sądzi o soliście?

- Moim zdaniem marnie improwizuje. Brakuje mu pasji.

- Och, skąd! Gra niesłychanie energetyzująco! Z tym że subtelnie i powściągliwie dawkuje żywiołowość.

- Subtelnie? - W zazwyczaj szklistych oczach George'a pojawiły się iskry. - Gdzie tam...

Gdy ożywiony staruszek z zapalem i ze szczegółami opisywał grę całej orkiestry, Jackowi przeszło przez myśl, że owszem, Ellie mogła

oczarować najtrudniejszą parę w Chicago, lecz stało się to całkowicie przypadkowo.

Sytuacja powtórzyła się jednak po chwili, w wypadku Branwellów, największych snobów na zachód od Missisipi, a potem Mitchellów, słynnych ponuraków.

- Chyba dobrze się pani bawi? - spytał pozornie bez troski, gdy na moment zostali sami.

- Nie najgorzej - przyznała i popatrzyła na kogoś za jego plecami.

Jack odwrócił się i ujrzał Jacka Phillipsa, znajomego biznesmena, w towarzystwie wysokiej, chudej blondynki w czarnej sukience.

- Jack, mój drogi! - zapięła Amber Bellair. - Gdzieś ty się podziewał? Nie widzieliśmy się od stuleci.

Jack wzruszył ramionami i dokonał prezentacji. Amber obrzuciła Ellie niechętnym spojrzeniem i ponownie spojrzała na Jacka.

- Dlaczego już do mnie nie zaglądasz, mój drogi? Czułam się taka samotna...

- Powiedziałaś, że już nigdy więcej nie chcesz widzieć mojej twarzy.

- Och, mój drogi... Nie znasz się na żartach? Wpadaj, kiedy chcesz. - Postukała wypiełgowanym paznokciem w jego tors. - O każdej porze dnia i nocy.

- Przykro mi, Amber, ale to absolutnie wykluczone. - Jack kątem oka zauważył, że Ellie śmieje się z czegoś, co powiedział Jack. - Jestem zajęty.

- Zajęty przez panią Hernandez, jak widzę - zakpiła. Ujrzał błysk niezadowolenia w jej oczach.

Westchnął niecierpliwie.

- Zakładam fundację artystyczną, aby wspierać sztukę za pośrednictwem galerii kierowanej przez tę panią - wyrecytował spokojnie.

- Nasze relacje są czysto zawodowe.

Uśmiechnęła się drwiąco, ale nie ciągnęła tematu.

- Rozumiem - oznajmiła tylko.

Jack wątpił, by jego rozmówczyni faktycznie cokolwiek zrozumiała, ale natarczywy dzwonek uniemożliwił im dalszą pogawędkę. Publiczność spokojnie skierowała się na widownię.

- Mój drogi, kiedy będziesz miał jej dosyć... Mam na myśli ciężką pracę, rzecz jasna - koniecznie daj mi znać - pożegnała się Amber i odeszła.

Jack ruszył z Ellie w kierunku wejścia na salę.

- Pani Bellair to pańska dobra znajoma? - spytała chłodno.

- Niezupełnie. - Chciał przyspieszyć kroku, lecz tłum ludzi skutecznie go powstrzymał. - Przez pewien czas się spotykaliśmy.

- Zerwał pan z nią?

- Sytuacja zrobiła się zbyt... poważna.

- Rozumiem - oświadczyła takim samym tonem, jak Amber chwilę wcześniej. - Zatem nie chce pan rezygnować z tytułu najbardziej pożądanego kawalera Chicago?

Wzdrygnął się, usłyszawszy to idiotyczne określenie.

- Niespecjalnie - prychnął. - Nawet pani nie podejrzewa, ile krwi napsuł mi ten durny gazetowy nagłówek.

Odnaleźli swój rząd, a wówczas Jack się odsunął, aby Ellie poszła przodem. Gdy zajęli miejsca, delikatnie dotknęła jego ręki.

- Pieniądze z pewnością kładą się cieniem na pańskim życiu osobistym... - zauważyła cicho.



Ta uwaga go zdumiała, gdyż zawsze uważał pieniądze za ogromne udogodnienie.

- Dlaczego tak pani sądzi?

Światła przygasły, na scenę wyszedł dyrygent. Publiczność powitała go oklaskami.

- Och... - westchnęła Ellie, gdy muzycy sposobili się do gry. - To chyba straszne, że kobiety interesują się panem tylko z powodu pieniędzy...

Orkiestra zagrała, a wtedy Ellie całą uwagę skupiła na muzyce.

Jack nawet nie spojrział na scenę.

Amber niewątpliwie nie uwierzyła, gdy oświadczył, że z Ellie łączy go wyłącznie sprawy zawodowe. Powiedział jednak prawdę. Nie mógłby się interesować kimś takim jak Eleanor. Zamierzał ją wykorzystać jako środek do osiągnięcia celu.

Mimo to do końca koncertu nie potrafił opanować irytacji. Jak ona w ogóle śmie zakładać, że kobiety interesują się nim wyłącznie dla pieniędzy?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

W następnym tygodniu Jack zabrał Ellie do ekskluzywnej francuskiej restauracji. Kelner w smokingu zaprowadził ich do ustronnego zakątka w atrium, oświetlonego świecami i pełnego kwiatów, z widokiem na panoramę miasta.

Jakżeby inaczej, pomyślała z przekąsem, gdy na stole pojawił się dziki łosoś atlantycki oraz kapusta po alzacku. Jack niewątpliwie przywykł do wszystkiego co najlepsze. Ellie doszła do wniosku, że w sumie to dobrze wróży jej galerii. Powinna tryskać radością i szczęściem, i z pewnością cieszyłaby się bez pamięci, gdyby nie jedno. Gdyby nie Jack Wisnewski.

Wsluchiwała się w jego zdecydowany głos, patrzyła na jego zdecydowaną twarz, usiłowała zapamiętywać podawane przez niego liczby i fakty. Gdyby nie poznała jego byłej dziewczyny, być może nawet czułaby dla niego podziw. Teraz jednak zastanawiała się, jak to możliwe, że związał się z tak zimną i antypatyczną osobą jak Amber Bellair.

- Otrzymałem sprawozdanie asystentki, która ostatnio panią wspierała. Podobno przez ten tydzień miała pani mnóstwo pracy.

Skinęła głową. Przygotowania do aukcji oraz wystawy zajmowały sporo czasu. Nareszcie mogła zrezygnować ze sprzątanía domów, bo Jack zaoferował jej bardzo godziwe wynagrodzenie. Dostawała teraz tyle pieniędzy, że jej podejrzenia tylko się pogłębiły. Usiłowała go wypytywać o szczegóły przedsięwzięcia, lecz konsekwentnie unikał odpowiedzi.

- Ma pani pytania dotyczące spraw budżetowych? - spytał.

- Nie, żadnych. Nigdy mnie nie ciągnęło do matematyki. Wolałam zajęcia plastyczne i muzykę - wyznała szczerze.

- Skoro Martina studiuje w szkole biznesu, to może ona przejrzy liczby w pani imieniu? - zasugerował ze zrozumieniem.

Jack poznał Martinę godzinę wcześniej, gdy przyjechał po Ellie. Na jego widok potrząsnęła gęstymi, ciemnymi włosami i uśmiechnęła się zalotnie. Gdy wychodzili, nachyliła się do ucha kuzynki.

- Bierz go szybko i nie puszczaj, El - wyszeptała. - Ktoś cię uprzedzi, jeśli się nie pośpieszysz! Ech, jaka szkoda, że mam chłopaka...

- To nie jest konieczne - mruknęła Ellie, gdy Jack skubnął kawałek tortu. - W razie potrzeby poproszę ją o pomoc, jest naprawdę bardzo zdolną studentką. Właśnie dlatego kończy naukę o rok wcześniej, w czerwcu.

- Podobno pochodzi pani z Filadelfii - zauważył. - Pani kuzynka o tym wspomniała.

Ellie poruszyła się niespokojnie. Co jeszcze wypaplała Martina?

- Pani rodzice tam mieszkają?

- Oboje zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałam trzynaście lat.

To wyznanie zabrzmiało chłodno i rzeczowo, lecz wspomnienie tragedii sprzed lat nadal wywoływało u niej bolesne ukłucie w sercu.

- Przykro mi - powiedział cicho. - Z pewnością było pani ciężko.

Odwróciła wzrok w stronę okna. Nie oczekiwała od tego mężczyzny współczucia.

- Na szczęście krewni się mną zaopiekowali. - Ponownie popatrzyła na Jacka i uśmiechnęła się z wysiłkiem. - A pańska rodzina?

- Osiem lat temu ojciec zmarł na zawał. Matka ponownie wyszła za mąż i kilka lat później przeprowadziła się na Florydę. Rzadko ją widuję. Częściej spotykam się z siostrą i jej piętnastoletnią córką.

- Jesteście sobie bliscy? - Z trudem powstrzymała niemądrą chęć pogłaskania go po dłoni.

Wzruszył ramionami.

- Brakuje mi czasu. Mam zbyt absorbującą pracę. Nagle zrozumiała, że obowiązki zawodowe pomagają mu zapełnić upiorną pustkę w życiu.

- Kiedyś będzie pan musiał znaleźć chwilę dla siebie - zauważyła cicho.

- Może powinna pani udzielać dobrych rad na łamach gazet? - zasugerował z łagodną kpina w głosie.

Puściła jego uwagę mimo uszu.

- Niedobrze jest przedkładać pracę nad rodzinę.

- A jeśli los rodziny zależy od pracy jednej osoby?

Zmarszczyła brwi.

- Siostra i siostrzenica są od pana zależne finansowo?

- Niezupełnie. Mówię hipotetycznie.

- Chyba każdą sytuację należy rozpatrywać niezależnie - zauważyła.

- Ludzie muszą dokonywać wyborów zgodnie z własnym sumieniem, aby potem nie żalowali, że coś w życiu ich ominęło.

- Hm - mruknął niezobowiązująco. - Może opowie mi pani o swojej rodzinie?

Wątpiła w szczerść jego zainteresowania i nie chciała wdawać się w opowieści o antagonizmach, które oddaliły ją od dziadka. Skupiła się więc na wujku Rodrigu, cioci Almie i ich sześciorgu dzieciach. Trójka najstarszych była już po ślubie i miała własne pociechy.

- Troje młodszych to Martina, Roberto i Alyssa - wyjaśniła. - Alyssa jest mniej więcej w wieku pańskiej siostrzenicy, w marcu skończy czternaście lat.

- Od jak dawna dzieli pani mieszkanie z Martiną?

- Od roku, odkąd przeprowadziłam się do Chicago. Nie miałam grosza przy duszy, a absolwenci historii sztuki nie mogą liczyć na dobrze płatną pracę.

- Skończyła pani studia?

- Tak - potwierdziła. - To dziwne?

- Nie, skąd. A pani kuzyn Roberto? Nadal uczy się w liceum?

- W ubiegłym roku zdał maturę. - I natychmiast trafił za kratki. Nie zamierzała jednak informować o tym Jacka. - To przemiły chłopak. Czasami zbyt poważnie traktuje swoją męskość, lecz ma wyjątkowo wrażliwe serce. Potrafi godzinami grać w karty z babcią Pilar, chociaż starszka oszukuje na potęgę i czasami zapomina jego imienia. Roberto bywa porywczy, ale nie ze złej woli. Czuje się za mnie odpowiedzialny.

- Potrzebuje pani opieki?

- Gdzie tam. Tylko Robbie tak uważa. Pewnie z powodu... - Ugryzła się w język.

- Z powodu Rafe'a? Wyprostowała się.

- Skąd pan o nim wie?

- Martina zauważyła, że jestem o niebo lepszy od Rafe'a. To pani były przyjaciel, zgadza się?

- Mhm. - Z całą pewnością musiała rozmówić się z Martiną. - Ściągnęłam go do Chicago, aby poznał moich bliskich. Martinie i Robbiemu nie przypadł do gustu. Okazało się, że słusznie.

- Rafe złamał pani serce?

- Bez przesady. Po rozstaniu z nim trochę zobojętniałam, nic więcej.  
- Poruszyła się niespokojnie i postanowiła przejąć inicjatywę. - Każdy przeżył jakiś zawód miłosny. Jestem pewna, że pan również. Jack się zamyślił.

Ellie doszła do wniosku, że miał zbyt wiele przykrych doświadczeń sercowych, albo wręcz przeciwnie, nigdy nie był zakochany.

- Spotykałem się kiedyś z pewną dziewczyną. Nazywała się Monika Alexander - wyznał wreszcie. - Zakochałem się w niej po uszy.

- Dlaczego się rozstałście?

- Rzuciła mnie, gdy zmarł mój ojciec, a jego firma ogłosiła upadłość. Musiałem przerwać studia, aby wyprowadzić przedsiębiorstwo na prostą.

Pokręciła głową, wyraźnie przejęta.

- To straszne - westchnęła.

Jack wydawał się rozbawiony jej troską.

- Nie ma mowy o żadnej wielkiej tragedii. W gruncie rzeczy nie mogło mi się przytrafić nic lepszego. Po prostu wcześniej zakończyłem naukę i skupiłem uwagę na biznesie.

- Na pewno okropnie pan przeżył rozstanie z dziewczyną. W tak trudnych chwilach potrzebował jej pan najbardziej.

Wzruszył ramionami.

- Jakoś sobie poradziłem.

Czy wtedy stał się cyniczny? Czy wówczas stracił wiarę w ludzi, a zwłaszcza w kobiety?

Posiłek dobiegł końca. Jack odwiózł Ellie do domu i odprowadził ją pod drzwi.

- Jutro wieczorem Instytut Sztuki urządza wernisaż nowej wystawy - oświadczył. - Wstęp mają tylko wybrane osoby, ale zdobyłem dwa zaproszenia. Przyjadę po panią o siódmej.

- Filharmonia to dla pana za mało? - zdziwiła się.

- Przyszło mi do głowy, że miałyby pani ochotę iść na wystawę.

Powątpiewała w szczerść jego intencji, lecz czy mogła odmówić?

Zresztą naprawdę chciała iść na wystawę.

- Zgoda. - Uśmiechnęła się.

Jack nieoczekiwanie pochylił głowę i zbliżył się do Ellie.

- Co się stało? - spytała niepewnie.

- Sól rozmazała się na pani płaszczu. Proszę się nie ruszać.

W milczeniu patrzyła, jak otrzepywał szary nalot z jej płaszczu.

Uświadomiła sobie, że na pewno otarła się o karoserię samochodu.

W pewnej chwili zachwiała się lekko, a on położył rękę na jej ramieniu. Dłonią w rękawiczce czyścił jej płaszcz, spokojnie, skutecznie, obojętnie. Kiedy skończył, odsunął się o krok, pożegnał i odszedł.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Stacy Hatfield, asystentka wyznaczona przez Jacka do pracy w fundacji, była inteligentną, pełną zapału i bardzo młodą, zaledwie osiemnastoletnią dziewczyną. Ellie z pewnością doskonale czułaby się w jej towarzystwie, gdyby nie jeden zasadniczy problem: Stacy na złość kochała się w Jacku.

Tymczasem Ellie miała coraz większy mętlik w głowie. Od półtora tygodnia spędzała mnóstwo czasu w jego towarzystwie. Zabrał ją na wystawę, kilka razy do restauracji, do teatru i na mecz koszykówki. Przez cały czas powtarzała sobie, że łączą ich tylko sprawy zawodowe, ale niekiedy na minutę lub dwie zdarzało się jej o tym zapomnieć. Chciała przestać myśleć o swoim nowym pracodawcy, lecz w towarzystwie Stacy było to absolutnie niemożliwe: dziewczyna bezustannie o nim trąkotała.

Ellie marzyła o ucieczce przed nią, więc w galerii przeniosła się na piętro, do studia ramiarskiego. Niestety, Stacy najzwyczajniej w świecie wzięła laptop pod pachę i podreptała za nią.

- Pan Wisniewski to mój najlepszy szef - obwieściła po chwili, nie przerywając pisania na komputerze. - A w dodatku pierwszy, jeśli nie liczyć pani Bussey, której dziećmi się opiekowałam jako czternastolatka. W firmie wszyscy uważają, że pan Wisniewski jest super. I w dodatku nie ma węża w kieszeni. Gdy mu powiedziałam, że za mało ci płaci, od razu kazał podwoić twoją pensję.

Wstrząśnięta Ellie oderwała wzrok od kawałka dębiny i zerwała się z fotela.

- Stacy! Nie mogę się zgodzić na taką podwyżkę!



- E tam, pewnie, że możesz. Zasłużyłaś na nią. Gdyby większe pieniądze zaproponował jej pan

Vogel, to co innego. Ale Jack...

- Dobrze się bawiliście na meczu? - spytała Stacy.

Ellie usiadła na krześle.

- Miło spędziliśmy czas - przyznała. - Mieliśmy specjalną łożę i dostarczono nam kolację. Poza tym Byki wygrały.

- W sobotę też się gdzieś z nim wybierasz? - Stacy ani na moment nie przerywała stukania w klawiaturę. - Ma urodziny, wiesz? Stuknie mu trzydziestka. Staruch z niego, ale fajny.

Rzeczywiście, Ellie przypomniała sobie, że nie tak dawno temu Jack zdradził jej, ile ma lat.

- Jak ci idą przygotowania katalogu aukcyjnego? - spytała, żeby odwrócić uwagę Stacy od Jacka.

- Świetnie. Zdjęcia tego nowego fotografika są doskonałe. Uwiecznił też pana Wisnewskiego i panią Tarrington, jego siostrę. Dziwne, że szef się na to zgodził. Wiedział, że zdjęcie trafi do gazet, aby nagłośnić aukcję, a on przecież nie lubi się pokazywać w mediach.

- Naprawdę? - zdziwiła się Ellie.

Stacy nie potrzebowała dodatkowej zachęty.

- Poważnie - przytaknęła. - Odkąd okrzyknięto go najbardziej pożądanym kawalerem, kobiety dosłownie pchają mu się w ręce. Są potwornie nachalne. Czytałam, że jedna zaczęła się na niego na parkingu, wskoczyła mu na maskę samochodu i wycalowała przednią szybę. Zanim zdołał ją ściągnąć z auta, wysmarowała szminką całe szkło. Inna włamała się do jego domu, ukradła mu bieliznę i wystawiła ją na aukcji w Internecie. Policja złapała złodziejkę, tyle że ta zdążyła już sprzedać parę

bokserek. Nabywczynią okazała się emerytka z domu spokojnej starości na Florydzie. Szef zagroził, że pozwie gazetę do sądu, więc od miesiąca dziennikarze dają mu spokój, ale kobiety nadal dzwonią albo przychodzą do firmy.

Ellie przypomniała sobie zirytowaną minę Jacka, gdy wpadła na niego na ulicy. Co następnego dnia powiedział w gabinecie? „Więc w końcu wytropiła mnie pani”.

Jego nieuprzejme zachowanie nadal uważała za niewybaczalne, lecz była w stanie je zrozumieć. Sama również nie cierpiała prasy, a zwłaszcza namolnych paparazzich.

- Nie miałam pojęcia o jego urodzinach - wyznała. - W gruncie rzeczy bardzo słabo go znam. A on nie zna mnie.

- Zna cię dostatecznie dobrze - powiedziała Stacy. - Co jeszcze chciałabyś o nim wiedzieć poza tym, że jest niesamowicie przystojny?

Ellie pomyślała, że chciałaby znać jego myśli, uczucia. Pragnęła wiedzieć, co o niej sądzi...

- Słyszałam, jak podczas rozmowy telefonicznej z siostrą zapowiedział, że wkrótce cię jej przedstawi.

Serce Ellie zaczęło szybciej bić.

- Nieładnie jest powtarzać cudze rozmowy telefoniczne - mruknęła bez niezbędnego w takich wypadkach przekonania.

Stacy nie zwróciła najmniejszej uwagi na reprimendę.

- Siostra jest bardzo ważną osobą w jego życiu - trąkotała. - Podobno kupił jej na Gwiazdkę bajecznie drogi naszyjnik. Szmaragdy i rubiny kosztują fortunę.

Stacy pokręciła głową, lecz Ellie nie zwróciła na nią uwagi. Zatem kupił naszyjnik dla siostry? Rzadko wspominał o Doreen Tarrington, ale z

pewnością bardzo mu na niej zależało, skoro kupił jej tak drogi prezent. Naszyjnik był wyjątkowo paskudny, jednak Jack zachował się miło.

- Zasadniczo jego siostra kieruje fundacją - wytłumaczyła jej Stacy. - Doskwierają jej jednak problemy zdrowotne, więc pan Wisnewski nie pozwala jej nic robić. Ona uwielbia sztukę. Szef stworzył naszą fundację specjalnie dla niej. Ellie się wzdrygnęła.

- Naprawdę?

- Tak. Sekretarka pana Wisnewskiego, pani Grist, wszystko mi powiedziała. Jego siostra chce stworzyć fundację artystyczną, a szef zgodził się ją sfinansować.

Ellie przypomniała sobie swoje podejrzenia, kiedy Jack zaproponował finansowanie jej galerii. Czemu nie wyznał, że robi to dla siostry?

- To bardzo miło z jego strony - zauważyła cicho.

Późnym, piątkowym popołudniem Jack nadal ciężko pracował w firmie. Z niecierpliwością podniósł słuchawkę popiskującego telefonu, niezadowolony, że ktoś odrywa go od studiowania umowy kupna firmy Lachland.

- Słucham? - spytał krótko.

- Pani Tarrington do pana - oznajmiła asystentka. Ach, Doreen. Opuścił wzrok na dokument, który właśnie podpisał. Transakcja jeszcze nie została sfinalizowana, lecz sprawa finansowania była już załatwiona. Doreen jeszcze tego nie wiedziała, ale straciła argument przetargowy.

- Niech wejdzie.

Do gabinetu wkroczyła Doreen, ubrana w czarną sukienkę z czarno-białym szalem przypiętym do ramienia. Niefortunnie dobrana kolorystyka sprawiła, że wyglądała jeszcze bardziej blado i niezdrowo niż zwykle. W

okrytych czarnymi rękawiczkami dłoniach niosła płaskie, prostokątne pudełko.

- Wszystkiego najlepszego, Jack - przywitała się, pocałowała powietrze w okolicach policzka brata i usiadła na skórzanym fotelu po drugiej stronie biurka.

Jack zajął miejsce i otworzył pudełko.

- Krawat - powiedział.

Upominek miał kolor musztardowożółty, a w jego centralnym punkcie widniał okazały herb szlachecki. Ten krawat był jeszcze brzydszy niż ubiegłoroczny, błotnistozielony z olbrzymim inicjałem znanego projektanta. Doreen przeszła samą siebie, bo nawet dwa lata temu krawat od niej nie prezentował się równie ohydnie - wtedy przypadkowo zapomniała oderwać nalepkę z informacją o pięćdziesięcioprocentowej obniżce ceny.

- Prześledziłam historię naszego rodu - obwieściła z dumą. - Jesteśmy spokrewnieni z polskimi królami, a to nasz herb.

Jack z trudem powstrzymał się od śmiechu. Rodzina Wisnewskich miała chłopskie korzenie i Doreen świetnie o tym wiedziała.

- Dziękuję, Doreen - powiedział. - Jak tam rejs?

- Okropnie - wyznała słabym głosem i odchrząknęła. - Dopadł nas huragan, całą podróż spędziłam z głową w sedesie. Karen okazała się zimna i nieczuła, zupełnie jak ty. Zamiast mi współczuć, szwendała się przy basenie i flirtowała z marynarzami. Poskarżyłam się kapitanowi, że powinien zabronić załodze bratania się z pasażerami, ale... Mniejsza z tym.

- Zmrużyła oczy. - Dzisiaj rano rozmawiałam z Ethel. Podobno w filharmonii widziała cię w towarzystwie jakiejś kobiety. I jeszcze na wystawie obrazów.

- Ethel powinna się zatrudnić w redakcji „Chicago Trumpeter”. -  
Jack uniósł się z fotela. - Czas mija nieubłaganie, Doreen...

- Jeszcze nie skończyłam! Co to za kobieta? Jack nieznacznie się uśmiechnął i usiadł z powrotem.

- Nazywa się Eleanor Hernandez.

- Hernandez? Brzmi meksykańsko...

- Eleanor pochodzi z Meksyku - potwierdził. W gabinecie zapadła cisza.

Jack poprawił się na fotelu i czekał na eksplozję. Doreen wielokrotnie uskarżała się na napływ meksykańskich imigrantów i puszczała mimo uszu uwagi Jacka, że ich dziadkowie znajdowali się w identycznej sytuacji.

Przerwała milczenie dopiero po dłuższej chwili.

- To dobrze, że dotrzymujesz słowa. Poruszył się niespokojnie.

- Nie bardzo rozumiem...

- Zawarliśmy umowę - przypomniała mu. - Obiecałeś, że zaczniesz się spotykać z przyzwoitą dziewczyną. Ethel bardzo chwaliła twoją nową, uroczą znajomą.

Jack nie wiedział, co powiedzieć.

- Ethel otrzymała zaproszenie na zamkniętą aukcję, organizowaną przez fundację artystyczną. Poinformowała mnie, rzecz jasna poufnie, że jej przyjaciel z Rejestru Towarzyskiego jest pod wrażeniem działalności fundacji. Niewykluczone, że pojawię się już w letniej edycji rejestru...

- Doreen - przerwał jej Jack. - Muszę wracać do pracy.

Nie zwracając uwagi na gniewne posapywania siostry, odprowadził ją do drzwi, a po chwili ponownie zasiadł w fotelu. Chciał jej dać nauczkę, lecz cały plan wziął w łeb.

Spojrzał na obraz, wiszący naprzeciwko biurka.

*Kobieta w błękicie.*

Zamierzał przesłać płótno Tedowi Johnsonowi, w zemście za portret Lilly Lade, lecz pod wpływem niezrozumiałego impulsu kazał zawiesić je w gabinecie.

Dzieło w zastanawiający sposób przykuwało uwagę. Wpatrywał się w nie, usiłował zrozumieć jego istotę, lecz bez powodzenia. Przypadkowe, barwne plamy, kreski i smugi nie układały się w spójną całość. Nie umiał ich rozszyfrować, podobnie jak nie potrafił rozgryźć Ellie.

Nie wiedział, czego ona chce, do czego dąży. Z początku uznał, że jej celem są pieniądze, ale zachowywała się niekonsekwentnie. Na wystawie zachwyciła się małym, ceramicznym wazonem. Chciał go kupić i ofiarować jej w prezencie, ale odmówiła. Gdy dał jej podwyżkę, również usiłowała protestować. Zignorował jej sprzeciwy, ale był nimi zdumiony. Ellie z pewnością dążyła do jakiegoś celu. Chciała rozslawić swoją galerię? Bez wątplenia, lecz nie tylko. Może pragnęła popularności dla siebie?

Pochylił się nad rozłożonymi na biurku umowami. Spotkania z Ellie traktował jak element pracy, mającej na celu dobro Wisniewski Industries. Po sfinalizowaniu operacji przejęcia Lachland Company, gdy jego siostra się zorientuje, że jej plany spaliły na panewce, nie będzie musiał spotykać się z Ellie. Postanowił się z nią szybko rozstać, aby nie komplikować sytuacji.

Nie zamierzał się z nią wiązać.

Powtarzał sobie te słowa jak mantrę, kiedy tego samego wieczoru naciskał przycisk dzwonka do jej drzwi.

Do środka wpuściła go Martina. Miała na sobie buty z cholewami, dżinsową spódnicę i szmaragdową bluzkę, wspaniale podkreślające kolor jej oczu.

- Widzę, że czeka panią ważne spotkanie - zauważył.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Mój chłopak zabiera mnie do Madison.

- Do Madison? To kawał drogi, zwłaszcza w taką pogodę.

- Rzeczywiście - przyznała. - Spędzimy tam parę dni w towarzystwie jego przyjaciół. Proszę się rozgościć, Ellie jeszcze nie jest gotowa.

Usiadł na kanapie, przez cały czas swobodnie gawędząc z Martiną. Myślał jednak tylko o tym, że mieszkanie będzie puste, gdy odwiezie Ellie z powrotem.

Z trudem skupił uwagę na słowach rozmówczyni. Zachowywała się zmysłowo, jakby z nim flirtowała. Wiedział jednak, że z całą pewnością nie robiła tego świadomie. Ton jej głosu zmieniał się tylko wtedy, gdy mówiła o interesach. W takich chwilach przypominała Jackowi jego zastępców.

- Co pani sądzi o nowym nabytku Ellie? - Martina wskazała dłonią dzieło sztuki wyeksponowane na małym stoliku.

Obiekt przypominał bryłę błota.

- Jest niezwykle - odparł Jack ostrożnie.

Martina zmarszczyła nos.

- Niezwykłe łajno, i tyle.

Jack popatrzył z uwagą na przedmiot i zastanowił się, czy Martina mówi serio.

- Połowa przedmiotów, które ona znosi do domu, nie jest warta funta kłaków - ciągnęła. - Wystarczy, że byle nieudacznik zabłądzi do galerii i

wciśnie Ellie jakąś łzawą historyjkę, a ona z miejsca sięga po portmonetkę. Wszystko dlatego, że jej ojciec był artystą i nikt nie kupował jego prac. Teraz Eleanor czuje się w obowiązku wspierać finansowo każdego, kto do niej przyjdzie.

Jack zmarszczył brwi, lecz zanim Martina zdążyła powiedzieć coś więcej o ojcu Ellie, usłyszał za plecami odgłos kroków. Natychmiast wstał i się odwrócił. Eleanor wyszła z sypialni, a Jack wstrzymał oddech. Wyglądała zjawiskowo w błękitnej aksamitnej sukience, która pięknie eksponowała jej kształty.

- Wszystkiego najlepszego! - Powitała go uśmiechem i wręczyła mu płaskie, prostokątne pudełko, którego wcześniej nie zauważył.

Podziękował, natychmiast odpakował prezent i wbił wzrok w krawat. Przez całą jego długość płynęły nuty, a w najszerszym miejscu widniał miniaturowy tekst, wyglądający jak wycięty z gazety nagłówek: ATOM DO BETONU. Krawat wyglądał tak, jakby ktoś opryskał go farbą we wszystkich barwach tęczy.

- Jaki... kolorowy - wykrztusił.

- Nieco śmiały - przyznała. - Przyszło mi do głowy, że powinien pan trochę ożywić swój konserwatywny wizerunek.

- Czy to projekt któregoś z artystów z pani galerii? - spytał.

- Niezupełnie. Jego prac jeszcze nie wystawiałam, bo przyszedł do mnie w zeszłym tygodniu, więc nie było okazji. To bardzo ambitny człowiek...

Martina wymownie przewróciła oczami i dyskretnie znikła w sypialni.

Jack miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Z trudem zachował powagę i popatrzył na Ellie.



- Teraz będzie pani musiała pomóc mi go zawiązać.

Uśmiechnęła się promiennie.

Ściągnął stary krawat i pochylił głowę, aby ułatwić jej zadanie.

Wpatrywał się w jej nagie ramiona, a jego nozdrza wypełniła woń delikatnych perfum. Położył dłonie na biodrach Ellie, aby pomóc jej zachować równowagę.

Wystarczyłby tylko jeden krok, aby przytuliła się do niego...

- Gotowe - oznajmiła i nagle się cofnęła.

Opuścił dłonie i spojrzał na węzeł. Poszło jej nadzwyczaj szybko i sprawnie.

- Pani musiała już kiedyś wiązać krawaty - zauważył zaskoczony.

- Zawsze wyręczałam dziadka - odparła z wyczuwalnym napięciem w głosie. - Wezmę płaszcz i możemy iść.

Zabrał ją do małego klubu. Na parkiecie poruszała się ze zmysłową, latynoską gracją, która pobudzała go do granic możliwości. Nie mógł oderwać od niej oczu. Mimo to udało mu się zachować zimną krew przez godzinę, do czasu, gdy muzycy zagrali wolniejszy taniec. Wziął ją wtedy w ramiona i przytulił.

Zawahała się, ale otoczyła jego szyję rękami i przytuliła się do niego. Oszołomiony, położył dłonie na jej biodrach. Nie zaprotestowała.

Był w siódmym niebie. Najbardziej na świecie pragnął teraz uciec wraz z nią do jej mieszkania i tam...

- Jack - wyszeptała.

- Mhm? Pomyślał, że najwyższy czas, aby wreszcie zaczęła mówić mu po imieniu.

- Wiem, dlaczego założyłeś fundację.

- Naprawdę?

- Tak. Robisz to dla siostry, zgadza się? - Z uśmiechem odchyliła głowę. - Dlaczego nie powiedziałaś? To wspaniałomyślnie i wielkodusznie z twojej strony.

- Jestem biznesmenem - mruknął. - Nie bywam wspaniałomyślny ani wielkoduszny.

Uśmiechnięta, pokręciła głową i oparła policzek na jego ramieniu... Nagły, niespodziewany błysk światła na moment oślepił Jacka. Zamrugał, udało mu się dostrzec tylko sylwetkę uciekającego mężczyzny. Ogarnęła go irytacja, ale w następnej chwili westchnął zrezygnowany. W sumie mógł się tego spodziewać, i to znacznie wcześniej.

- Chyba nie masz nic przeciwko temu, że w gazetach pojawi się nasze wspólne zdjęcie - powiedział spokojnie, przyzwyczajony do takich sytuacji.

- Nie zamierzasz zatrzymać tego człowieka?

- Zrobię to, jeśli ci na tym zależy. W milczeniu skinęła głową.

Jack dopadł nieznajomego, gdy ten wskakiwał do samochodu. Po krótkiej szarpaninie wyrwał mu aparat i prześwietlił film.

- Ech, dałby pan pożycz - jęknął dziennikarz przygnębiony. - Szefowa obiecała mi premię za to zdjęcie.

- Wynoś się stąd, człowieku - warknął Jack. - Bo stracę cierpliwość.

Jack wrócił do klubu.

- Dopadłeś go? - spytała Ellie niespokojnie.

- Sprawa załatwiona. - Popatrzył na jej pobladłą twarz. - Chodź, odwiozę cię do domu.

W drodze powrotnej niewiele mówili. Jack rozmyślał o incydencie w klubie oraz reakcji Ellie. Dlaczego nie była zachwycona faktem, że dziennikarze chcą robić jej zdjęcia?

Zatrzymał samochód przed budynkiem.

- Dzisiaj nie przedstawiłeś mnie ani jednemu swojemu klientowi - zauważyła.

Zapadła chwilowa cisza.

- Może wpadniesz na kawę? - zaproponowała Ellie w końcu.

Jej oczy błyszczały w świetle latarni, na jej ustach zagościł uroczy uśmiech. Jack pomyślał, że nie powinien komplikować tej sytuacji. Gdyby miał choć trochę zdrowego rozsądku, odmówiłby i w ten sposób uniknął problemów...

- Z przyjemnością - odparł.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy weszli do mieszkania, Ellie wyciągnęła rękę, by włączyć światło. Zanim jednak zdążyła wcisnąć przycisk, Jack dotknął jej dłoni. Pomimo fatalnej pogody miał przyjemnie ciepłe ręce. Zamknął drzwi i mieszkanie pograżyło się w mroku. Ellie stała nieruchomo. Jack objął ją delikatnie, przytulił i mocno pocałował w usta.

Ciemność zawirowała. Ellie położyła dłonie na jego piersi, jakby zamierzała go odepchnąć, lecz wówczas pocałunek złagodniał, stał się delikatny i zmysłowy.

Poczuła, jak Jack rozpina jej płaszcz. Przywarła do niego mocniej, bliżej...

Uświadomiła sobie, że jeszcze chwila i pożądanie całkowicie pokona jej rozum, a wówczas posunie się dalej, niż zamierzała. Pragnęła tylko

sprawdzić, jak smakuje jego pocałunek, nie podejrzewała, że straci dla niego zmysły.

Drzwi wejściowe nagle się otworzyły i pchnęły Ellie. Straciła równowagę, niemal upadła na Jacka, który musiał się cofnąć, aby nie wylądować na podłodze. Przedpokój zalało jaskrawe światło.

- Coś blokuje drzwi - odezwał się znajomy głos. - Och...

Ellie zamrugała. Martina patrzyła na nią, a jej usta tworzyły niemal idealne O. Zza niej wyglądał zakłopotany chłopak.

- Martina? - wykrztusiła Ellie. - Co ty tutaj robisz?

- Drogę zablokował śnieg... Pojedziemy jutro po południu.

Przepraszam, nie chciałam wam przeszkadzać!

- W niczym nam nie przeszkodziłaś - podkreśliła Ellie i odgarnęła włosy z czoła. - Cześć, Billy. Wejdz.

- Dzięki, ale muszę lecieć - wymamrotał niezręcznie i nerwowo zerknął na kamienną twarz Jacka. - Do jutra, Martina!

- Pa, pa, Billy. - Martina zamknęła za nim drzwi i natychmiast ruszyła do swojego pokoju. - Padam z nóg. - Udała, że ziewa. - Idę spać. Dobranoc!

Jack skierował wzrok na Ellie.

- Pojedźmy do mnie - zaproponował.

- Nie. - Odwróciła twarz, lecz objął ją w talii i popatrzył jej w oczy.

- Wobec tego zjedźmy jutro kolację. We dwoje, u mnie.

Wiedziała, że powinna odmówić. Musiała odmówić. Otworzyła usta...

- Dobrze - wyszeptała. Jego oczy pojaśniały.

- Zatem do jutra - zapowiedział, musnął wargami jej usta i znikł za drzwiami.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego dnia Ellie bez rezultatu próbowała skupić się na pracy. Zawiesiła obraz, przestawiła rzeźbę i usiadła przed komputerem, aby zrobić bilans. Niestety, obraz powiesiła odwrotnie, rzeźbę upuściła - dzieło odpadła głowa - i pomimo wielokrotnych prób, w żaden sposób nie udawało się jej zbilansować rachunków.

Na koniec dała za wygraną i opadła na ławkę, która stała pośrodku galerii, aby ludzie mogli na siedząco kontemplować sztukę nowoczesną. Zamiast na obrazy, Ellie patrzyła jednak na zegar. Za dwie czwarta... Za minutę czwarta... Czwarta...

Za godzinę wróci do domu i przygotuje się na kolację z Jackiem.

Będą się kochać.

Ta świadomość przenikała jej umysł, nie pozwalała jej myśleć o niczym innym. Czyżby oszalała?

Gdyby nie postradała zmysłów, Jack Wisnewski nie miałby na nią takiego wpływu. Wczoraj wieczorem była rozpalona, pragnęła jego dotyku, kompletnie zapomniała o ostrożności, logice, rozsądku...

Po jego wyjściu usiadła oszołomiona na kanapie. Poruszyła się dopiero wtedy, gdy usłyszała skrzypnięcie drzwi. Z sypialni wychyliła głowę jej kuzynka.

- Poszedł sobie? - wyszeptała Martina. Ellie skinęła głową.

Martina weszła do salonu ubrana w długą, flanelową koszulę nocną w różowe króliczki oraz w kosmaty szlafrok. Podeszła do kanapy i usiadła po turecku obok Ellie.

- Ale numer! - mruknęła. - Wyglądasz, jakbyś umarła i trafiła do nieba. Ten gość musi pierwszorzędnie całować...

- Martina...

- El, daj spokój. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Odkąd przyjechałaś do Chicago, ani razu nie patrzyłaś na mężczyznę takim wzrokiem. Już szukałam dla ciebie odpowiedniego klasztoru.

Ellie zmarszczyła brwi.

- Nie chodzę do łóżka z pierwszym lepszym facetem. To nie znaczy, że chcę być zakonnica.

- Akurat. - Martina nie ustępowała. - I pomyśleć, że wyrwałaś akurat Wisnewskiego! Byłam pewna, że dostajesz wysypki na jego widok.

Ellie też tak sądziła, lecz ostatnie tygodnie wniosły do jej życia mnóstwo zmian.

- On nie jest taki zły, jak zakładałam - wyjaśniła z przekonaniem. - Ma poczucie humoru, potrafi okazać innym zrozumienie i dobroć. Troszczy się o siostrę...

- Ellie... - Martina patrzyła na kuzynkę z niedowierzaniem. - Czy ty go kochasz?

Eleanor poruszyła się niespokojnie.

- Skąd, oczywiście, że nie - odparła machinalnie.

- Akurat.

- Mówię prawdę - upierała się. - Nie Kocham go.

- Wobec tego powinnaś. Zapomnij o tym frajerze Rafie, nigdy go nie obchodziłaś. Interesował go wyłącznie koniec własnego nosa. Jack to co innego. Widziałam, jak na ciebie patrzy. Moim zdaniem jest w tobie zakochany po uszy. - Martina ziewnęła. - Muszę wcześniej wstać, dobranoc.

Tamtej nocy Ellie jeszcze długo przewracała się z boku na bok.

Dochodziła piąta, gdy drzwi do galerii się otworzyły i na progu stanęła nieznajoma kobieta. Miała na sobie granatową garsonkę od znanego projektanta, jej włosy wyglądały tak, jakby przed chwilą opuściła fotel stylisty, na palcu demonstrowała ogromny brylant. Na jej twarzy wyraźnie brakowało zmarszczek mimicznych, co dowodziło, że jest entuzjastką chirurgii plastycznej.

- Czym mogę pani służyć? - spytała Ellie. Z trudem ukrywała zniecierpliwienie. Zrobiło się już późno, chciała wracać do domu.

- Nazywam się Doreen Tarrington - przedstawiła się kobieta.

Ellie się rozpromieniła. Czyżby przysłał siostrę, aby się poznały?

- Pani Tarrington! Jak miło panią widzieć. Jestem Ellie Hernandez, a oto galeria Vogel.

Doreen nie odwzajemniła uśmiechu i nie uścisnęła wyciągniętej dłoni Ellie. Powiodła złowrogim spojrzeniem po ścianach galerii, przyjrzała się uważnie kilku najnowszym zakupom Ellie i ze zgrozą przeniosła na nią wzrok.

- Wiedziałam - jęknęła z goryczą. - Spodziewałam się tego!

Ellie opuściła dłoń, jej początkowy entuzjazm momentalnie przygasł.

- Czy coś się stało? - spytała niespokojnie.

- Oczywiście, że tak! To miejsce jest ohydne! Co za bohomyzy!

Wcale nie przypominają obrazów. Co sobie pomyślą państwo Palermo i Branwellowie? On to zrobił celowo, jestem przekonana!

- Kto?

- Jack! - W głosie Doreen pobrzmiwała nienawiść. - Mój brat.

Wybrał tę galerię, aby mnie upokorzyć. Paskudny łotr.

Ellie poczuła przykry ucisk w żołądku.

- Ależ pani nie wie, o czym mówi... - zaprotestowała. - Jack zrobił to dla pani...

Doreen wybuchnęła cynicznym śmiechem.

- Czego on pani naopowiadał? - prychnęła. - Od razu widać, że pani nie zna jego prawdziwej natury. A może się mylę? Sypia z panią, prawda?

Niewiarygodne. Mój brat utrzymuje relacje ze zwykłą sklepową! Aż trudno uwierzyć, że ktoś taki jak pani przypadł Ethel do gustu. Teraz wiem, że Jack kijem by pani nie tknął, gdyby nie chciał mnie pogiębić. Wybrał najbardziej śmieciarską galerię w mieście tylko po to, żeby mi dokuczyć. Typowe!

Ellie otworzyła usta, aby cokolwiek powiedzieć, lecz wściekła i rozgoryczona Doreen nie dopuściła jej do głosu.

- Ile on pani zapłacił za wycięcie mi tego ohydneho numeru? A może zrobiła to pani gratis, bo bredził, że pani mu się podoba? Co za naiwność! Mój brat interesuje się tylko sobą i pieniędzmi.

Doreen odwróciła się na pięcie i bez pożegnania wymaszerowała z galerii. Wstrząśnięta Ellie opadła na krzesło. Jej wzrok padł na obraz, który wisiał nad biurkiem. Płótno przedstawiało artystę zajętego szkicowaniem ponurego, pustego krajobrazu za oknem. Tylko pracownia twórcy była zielona i pełna kwiatów.

Eleanor od pierwszej chwili pokochała ten obraz. Dzięki niemu pamiętała, że powinna widzieć tylko pogodną stronę życia. Teraz zastanawiała się, czy jej optymizm był uzasadniony. Może patrzyła na świat przez różowe okulary i dostrzegała tylko to, co chciała ujrzeć? Zaciśnęła dłonie. Powinna była wypytać Jacka o wszystko, co budziło jej wątpliwości.



Niewiele brakowało, a zakochałaby się w tym człowieku... Jak mogła być tak nieprawdopodobnie głupia?

- Ellie?

Zaskoczona podniosła głowę.

- Robbie? - Otarła łzy. Na progu gabinetu stał jej przystojny kuzyn. - Co ty tutaj robisz? Miałeś odsiadywać wyrok.

Przykucnął u jej boku.

- Wypuścili mnie warunkowo za dobre sprawowanie. Muszę tylko raz w tygodniu zgłaszać się na policję.

- Świetnie. - Ellie z wysiłkiem próbowała zapomnieć o emocjonalnych rozterkach i skupić się na Robbiem. Wydawał się szczuplejszy niż zwykle, jego cera stała się nieco ziemista, lecz poruszał dłońmi z dawną energią. Gdy odetchnęła głęboko, poczuła znajomy zapach Old Spice, ulubionej wody kolońskiej kuzyna. - Odwiedziłeś już ciocię Almę i wujka Rodriga?

- Jeszcze nie. Nie jestem pewien, czy chcieliby mnie widzieć.

- Oczywiście, że tak - zapewniła go automatycznie, choć w głębi serca wcale tak nie uważała. Wujek Rodrigo dostał szału, kiedy aresztowano jego syna. - Jak ci się wiedzie, Robbie?

- Nie najgorzej. Od pół roku jestem czysty.

- Ekstra. Jestem z ciebie dumna.

- Dzięki, El. A teraz powiedz mi, czemu płakałaś. - W jego dużych, brązowych oczach dostrzegła troskę.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- To drobiazg - zbagatelizowała sprawę. - Martwiłam się sprawami galerii.

- Płaczesz z powodu tego gościa, Wisnewskiego?

Ellie momentalnie się wyprostowała.

- Skąd o nim wiesz?

- Martina twierdzi, że go kochasz.

- Martina ci wypaplała!

- Zgadza się. Rano zadzwoniłem do twojego mieszkania i uciałem sobie z nią pogawędkę. Opowiedziała mi wszystko, o tobie i o nim.

Eleanor z niepokojem spojrzała na kuzyna. Czy Martina miała dobrze w głowie? Jak mogła rozmawiać z Robbiem o jej życiu uczuciowym?

- Tak czy owak, to nieprawda. Przez minutę lub dwie zdawało mi się, że go kocham, ale teraz wiem, że to bzdura.

- El, jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś płakała z powodu faceta - zauważył poważnie. - Czy on ci zrobił krzywdę?

- Tak... Właściwie nie, niezupełnie - zaprzeczyła zaniepokojona. Przypomniała sobie, co się ostatnio zdarzyło, gdy Robbie miał taki wyraz twarzy. Zawsze był nadopiekuńczy. - Bez obaw. Poradzę sobie. Lepiej wpadnij do rodziców.

Żądza krwi nagle znikła z jego oczu.

- Ellie, nie chcę ci zawracać głowy, kiedy pęka ci serce...

- Nie pęka mi!

- ...ale ojciec raczej nie wpuści mnie do domu. Mój kumpel wyjeżdża z miasta i zaproponował mi swój lokal, ale dopiero od jutra. Dzisiaj...

- Możesz się zatrzymać u mnie, nie ma sprawy. Martiny nie będzie, i na pewno nie zaprotestuje, gdy się prześpisz w jej pokoju.

- Dzięki, El, jesteś super. Wiesz, jest jeszcze jedna sprawa. Mój inny kumpel chce być artystą. Ma talent...

Ellie westchnęła w duchu.

- Poznaliście się w więzieniu?

- Trafił za kratki, bo wymyślił jakąś sztuczkę z piramidą finansową.

Ale będą z niego ludzie, to bardzo bystry facet. Zaliczył wszystkie możliwe kursy korespondencyjne. Jak będziesz szukała przedsiębiorcy pogrzebowego, pastora czy prawnika, do wal prosto do niego.

- Hm. A jak długo siedział?

- Niezbyt długo. Teraz postanowił zostać artystą. Mogłabyś rzucić okiem na jego prace?

- Pewnie - zgodziła się bez entuzjazmu. - Niech jutro wpadnie.

- Dzięki. Masz u mnie duże piwo. Mogłabyś teraz mi dać klucz do mieszkania?

Wręczyła mu klucz, a on uścisnął ją mocno.

- Jeszcze raz dzięki. Słuchaj, gdybyś kiedyś potrzebowała mojej pomocy, mogę powybijać gościowi reflektory w samochodzie albo coś w tym stylu.

- Będę pamiętała - zapewniła go wbrew sobie. Miała nadzieję, że już nigdy nie spotka Jacka.

Jeszcze bardziej pragnęła jednak, aby nie spotkał go Robbie.

Tego samego wieczoru Ellie siedziała na kanapie we własnym salonie, naprzeciwko Robbiego i jego przyjaciela Caspara, kiedy zadzwonił telefon. Eleanor udała, że nic nie słyszy i nadal z uwagą oglądała obraz Caspara.

Ten ostatni nie mógł czekać aż do jutra, więc Robbie zaprosił go do mieszkania kuzynki, aby szybciej oceniła jego zdolności malarskie. Caspar sprawiał wrażenie miłego, młodego człowieka. Wysoki i chudy, miał proste, ciemne włosy i nieśmiałe spojrzenie, lecz jego obecność w

mieszkanu nie zachwyciła Ellie. Jego dzieła jeszcze mniej się jej spodobały. Banalne krajobrazy nie były w stanie przykuć jej uwagi.

- Ellie? Jesteś tam? - Chrapliwy głos nagrywający się na automatyczną sekretarkę brzmiał zaskakująco groźnie. - Odbierz, bo przyjadę osobiście...

Ze złością podniosła słuchawkę w kuchni.

- Nie mogę teraz rozmawiać - warknęła. - Czego chcesz?

- A jak myślisz? Oczekuję wyjaśnień. Co ma znaczyć ta wiadomość, którą mi zostawiłaś na sekretarce?

- Nie obchodzą mnie twoje oczekiwania... - Ellie zorientowała się, że Robbie i Caspar podsłuchują z nieskrywanym zainteresowaniem, więc odwróciła się do nich plecami. - Nie zamierzam się już z tobą umawiać, ty zdradziecki padalcu - syknęła. - Nie chcę cię widzieć, żalosna kreaturo. Zrozumiałeś wreszcie, czy mam powtórzyć?

- Rozumiem, że coś cię rozzłościło, ale nie mam pojęcia co.

- Twoja siostra wpadła dziś do mnie z wizytą. Powiedzmy, że otworzyła mi oczy na pewne cechy twojego charakteru.

Zapadło milczenie.

- Idę na górę - zapowiedział w końcu.

- Na górę? Co to ma znaczyć? - Podbiegła do okna i ujrzała, jak Jack wysiada z samochodu, z telefonem komórkowym przyciśniętym do ucha. - Stój! To wykluczone!

Jack rozłączył się jednak, schował aparat do kieszeni i zniknął na schodach.

Ellie wpadła w panikę. Nie chciała spotykać się z tym człowiekiem, nie miała najmniejszej ochoty z nim rozmawiać. Pragnęła się przed nim schować. Może poprosi Robbiego, żeby go odesłał z kwitkiem...

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Przeszło jej przez myśl, że jeśli nie otworzy, to Jack się zniechęci i sobie pójdzie.

Dzwonek ponownie się odezwał, tym razem długo, przeciągle, jakby ktoś wcisnął palcem przycisk i nie zamierzał go zwolnić.

- Robbie - odezwała się Eleanor. - Możesz razem z Casparem przejść na kilka minut do pokoju Marliny?

Robbie zmarszczył czoło.

- Kto przyszedł? Ten facet, w którym się kochasz?

- Nie Kocham go - warknęła zniecierpliwiona. - Po prostu muszę z nim porozmawiać na osobności.

Robbie ani drgnął. Zmarszczka na jego czole wyraźnie się pogłębiła.

- Dziwnie się zachowujesz, Ellie. Najpierw wypłakujesz oczy z powodu jakiegoś faceta, zaraz potem na mnie warczysz...

- Człowieku, od razu widać, że ona zaszła - odezwał się Caspar. - Mojej siostrze tak samo odbijało, kiedy stary zrobił jej brzuch.

- Co ty opowiadasz?! - Eleanor rozwścieczyła się nie na żarty, a Robbie ruszył do drzwi wejściowych.

W ostatniej chwili zdołała złapać go za ramię.

- Robbie, nie jestem w ciąży! - jęknęła.

- Moja siostra też się wypierała - zauważył Caspar. - Nie minęło pięć miesięcy, a niańczyła brzdąca. Willard ma na imię, całkiem ładniutki. Tyle że głowę ma trochę jakby spiczastą...

- Do licha ciężkiego! - wrzasnęła. - Robbie i Caspar, do sypialni! Ale już!

Robbie wyglądał tak, jakby chciał się sprzeciwić, ale posłała mu ostre spojrzenie, więc dał za wygraną.

- Ale jeśli będziesz potrzebowała pomocy, tylko krzyknij, ja chętnie... - Wymownie wyłamał palce.

Ellie zatrzasnęła za nim drzwi, odetchnęła głęboko i przyglądała włosy. Gdy uchyliła drzwi wejściowe, Jack momentalnie wpakował się do środka.

- Musimy porozmawiać.

- O czym? - burknęła oschle. - O fundacji artystycznej, którą stworzyłeś dla siostry? Doreen wyjaśniła mi, jak bardzo docenia twoje wysiłki. Odpowiedz mi uczciwie: czy wiedziałeś, że Doreen nie spodoba się galeria Vogel?

Zawahał się, ale odpowiedział wprost:

- Tak.

- Czy celowo wybrałeś moją galerię, aby rozzłościć siostrę?

- Tak - potwierdził uczciwie.

- Czy z tego samego powodu umawiałeś się ze mną?

- Tak.

Poczuła tak silny ucisk w gardle, że prawie nie mogła mówić.

- Wobec tego nie mamy sobie nic do powiedzenia - wykrztusiła i odwróciła się z obawy, że wybuchnie płaczem.

Chwycił ją za rękę. Z trudem przełknęła łzy. Nie mogła się załamać w obecności tego człowieka. Z irytacją wyszarpnęła dłoń i popatrzyła na niego wyzywająco.

- Możesz już wyjść? - spytała z ciężkim sercem. - Zrealizowałeś wszystkie plany.

Jack cofnął się o krok. Nawet nie zamierzał się bronić. Wszystko, co mówiła Ellie, było prawdą, choć nie do końca. Z początku kierował się pobudkami, które wymieniła, lecz sytuacja wymknęła mu się spod

kontroli. Już od dawna nie myślał o celowym irytowaniu siostry. Ogromnie podobał mu się entuzjastyczny stosunek Ellie do sztuki współczesnej. Kiedy przebywał w towarzystwie tej dziewczyny, kompletnie zapominał o małostkowej Doreen. Poza tym gorąco pragnął Eleanor i ani myślał z niej rezygnować.

- Ellie, wszystko się zmieniło - westchnął. - Połączyło nas coś, czego nie da się zakwestionować ani zignorować. Przyznaj, że pragniesz mnie tak samo, jak ja ciebie.

- Postradałeś zmysły! Jak mogłabym pragnąć patologicznego kłamcy? Nie lubisz ani rodziny, ani sztuki, ani muzyki. Nawet za mną nie przepadasz.

- Jesteś w błędzie. - Patrzył na nią z uwagą. - Przepadam za tobą.

Zanim zdołała się poruszyć, chwycił ją w ramiona i pocałował. Jej mięśnie zwiotczały i zrozumiała, że Jack ma rację. Pragnęła go, sercem i ciałem. Ale nie była tak głupia, jak najwyraźniej sądził.

Z trudem oderwała się od niego i cofnęła o krok.

- Nie, Jack... - wyszeptała.

- Ejże, El - zabrzmiał głos. - Pomóc ci pozbyć się tego palanta?

Oboje jednocześnie odwrócili się ku drzwiom do sypialni.

Jack zmrużył oczy na widok nieznanego. Osobnik był wytatuowany do granic możliwości, a w wyeksponowanych punktach jego ciała widniały kolczyki. W spojrzeniu młodego mężczyzny skrywała się wrogość ulicznika, a jego kościste ciało emanowało intensywnym zapachem taniej wody kolońskiej. Kim był i co robił w tym mieszkaniu?

Ellie również nie wydawała się zachwycona obecnością obcego.

- Robbie, powiedziałam ci, że sama sobie poradzę.

- Robbie? - Jack odwrócił ku niej głowę. - To twój kuzyn, tak? Nie odpowiedziała, skupiona na groźnie wyglądającym mężczyźnie.

- Bardzo cię proszę, wracaj do pokoju Martiny.

- Moment, *prima*. Robbie wbił agresywne spojrzenie w twarz Jacka.

- Najpierw zobaczymy, co planuje ten pies.

- A ty się zastanawiasz, dlaczego wolę zachowywać dystans do pewnych członków rodziny - zakpił Jack.

Ellie nie wyglądała na rozbawioną.

- Jack, umilknij, błagam...

- Bez obaw, El, chętnie go uciszę. - Robbie ruszył na przeciwnika.

Jack z zimną krwią zaczekał, aż napastnik znajdzie się dostatecznie blisko i wówczas szybko odskoczył.

Siła rozpędu pchnęła Robbiego na stół. Mebel przewrócił się hałaśliwie, a rzeźba bryły błota uderzyła o podłogę i roztrzaskała się na drobne kawałeczki.

- Robbie! Jack! Przestańcie natychmiast! Robbie nie zwrócił na Ellie najmniejszej uwagi.

Z wykrzywionymi ustami ponownie natarł na Jacka, który tym razem wyprowadził potężny cios w brzuch napastnika. Celnie trafiony Robbie zgiął się wpół. Jack złapał go za ramiona i uderzył hakiem w szczękę. Robbie padł na podłogę. Ellie pisnęła i rzuciła się do kuzyna.

- Robbie! Nic ci nie jest? Oszołomiony młodzieniec z trudem usiadł.

- Chyba nic - wymamrotał i zaczął rozcierać szczękę. - Pewnie myślisz, że twardziel z ciebie, co? Jeszcze z tobą nie skończyłem. Nie ujdzie ci na sucho to, co zrobiłeś Ellie. Teraz będziesz musiał się z nią...

- Caspar! - wrzasnęła Ellie pośpiesznie, aby zagłuszyć kuzyna. - Chodź szybko, pomożesz mi z Robbiem!



Zadyszany Jack stał oparty o drzwi i spokojnie patrzył, jak drugi nieznajomy wyłania się z sypialni i pomaga Ellie wyprowadzić Robbiego z pokoju. Drobiny rzeźby błota chrzęściły im pod stopami. Ellie zamknęła drzwi i wróciła do salonu.

- Uroczego masz kuzyna - zauważył Jack. Popatrzyła na niego ciężkim wzrokiem.

- Musiałeś go bić? - burknęła zirytowana.

- Zaatakował mnie.

- Zachowałeś się agresywnie, nawet nie próbowałeś go powstrzymać.

- O czym on mówił? Co ci takiego zrobiłem? Nerwowo wzruszyła ramionami.

- Nic szczególnego. Możesz już sobie pójść? Narobiłeś mi dość kłopotów jak na jeden wieczór.

- Nie wyjdę, dopóki nie ustalimy, jak wygląda nasza sytuacja...

Drzwi do sypialni ponownie się otworzyły.

- Co znowu... - zaczęła Ellie i urwała.

Na progu stał Robbie, z pistoletem wycelowanym w Jacka.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Robbie! - krzyknęła Eleanor. - Oszalałeś? Odłóż ten pistolet!

Jack popatrzył najpierw na broń, potem na Robbiego.

- Hernandez, nie bądź idiotą - wycodził zimno. Ellie zasłoniła sobą Jacka.

- Robbie - jęknęła. - Przypomnij sobie, co się stało, kiedy ostatnim razem strzelałeś do człowieka.

- Rafe nie był wart funta kłaków, Ellie. Dostał kulkę w tyłek, bo na to zasłużył.

Jack zmarszczył brwi. Rafe... Były facet Ellie? Chciał odsunąć dziewczynę, lecz odepchnęła jego ręce.

- Idź stąd, bo ten dureń, twój kuzyn, zaraz cię zastrzeli! - syknął.

Ellie ani drgnęła.

- Robbie, Jack zaraz sobie pójdzie. Nie musisz mu grozić pistoletem.

- Kto powiedział, że chcę, aby sobie poszedł? Mamy lepszy pomysł, Caspar i ja. - Robbie rozgniółł piętą kawałek rzeźby. - Od sprawy z Rafe'em poprawiła mi się celność, więc uważaj, facet. Zrobisz, co każe, albo pożałujesz.

- Czego chcesz?

- Ożenisz się z Ellie - obwieścił Robbie zdecydowanym głosem. - Mój kumpel Caspar jest pastorem i ma uprawnienia.

Caspar pomachał ręką zza drzwi do sypialni.

- Robbie! Kompletnie ci odbiło! - zawołała Ellie z niedowierzaniem i kilka razy pociągnęła nosem. - Czego się tam napaliliście w sypialni?

- Niczego - odparł Robbie. - Jestem czysty jak łąza. Chcę tylko, aby twój dzidzius miał tatusia.

Ellie wyczuła na sobie wzrok Jacka. Jej policzki płonęły, lecz przez cały czas patrzyła na kuzyna.

- Robbie, już mówiłam, że nie jestem w ciąży. Natychmiast odłóż pistolet... - Chciała podejść do kuzyna, lecz Jack objął ją ręką i zatrzymał.

- Doskonale - zwrócił się do Robbiego. - Pośpieszmy się, chcę mieć to już za sobą.

Oczy Robbiego rozbliły triumfalnie. Nadal trzymając Jacka na muszce, odsunął się na bok, aby wypuścić Caspara z sypialni. Wysoki, patykowaty mężczyzna podszedł do państwa młodych i otworzył oprawioną w skórę książeczkę do nabożeństwa.

- Drodzy narzeczeni... - zaczął.

Ellie poruszyła się niespokojnie, lecz Jack tylko mocniej ją objął.

- Lepiej mu się nie sprzeciwić - mruknął. - Może kogoś zranić. Potem jakoś załatwimy sprawę ślubu.

- Nie - oznajmiła uparcie. - Robbie, odmawiam uczestnictwa w tej ceremonii. I co mi zrobisz? Zastrzelisz mnie?

Zrobił urażoną minę.

- Ellie, dobrze wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdził. Po prostu zastrzelę twojego faceta.

- Robbie, to nie jest śmieszne. - Wiedziała, że jej kuzyn stroi sobie żarty. Z drugiej strony, do Rafe'a też nie zamierzał strzelać, a tak jakoś wyszło...

Caspar odchrząknął i zaczął ponownie.

- Czy ty, eeee... Jack jakimś, bierzesz tę kobietę...

- To idiotyczne! - wybuchnęła. - I na dodatek nielegalne. Musimy przeprowadzić badania krwi.

Caspar pokręcił głową.

- Prawo stało się znacznie bardziej elastyczne pod tym względem. Badania krwi nie są konieczne.

- A licencja? Potrzebujemy zezwolenia na ślub!

- Bez obaw! - uspokoił ją Caspar. - Ściągnę formularz z Internetu i wydrukuję.

Zdesperowana Ellie spojrzała na Jacka, aby szukać u niego wsparcia, lecz na jego ustach ujrzała cyniczny uśmiezek. Zesztywniała. Jak on śmie tak na nią patrzeć? Zupełnie jakby uważał, że ona... chce za niego wyjść!

Jack spokojnym, rzeczowym tonem odpowiadał na pytania zadawane przez Caspara. Zacisnęła zęby i z wysiłkiem udzieliła odpowiedzi.

- Ogłaszam was mężem i żoną - obwieścił Caspar.

- Moje gratulacje - odezwał się rozpromieniony Robbie, przez cały czas mierząc do Jacka z pistoletu.

- Dzięki - odparł Jack. Nawet nie próbował ukrywać sarkazmu w głosie. - Miło nam. Teraz możecie już sobie iść, obaj. Chciałbym być sam na sam z... żoną.

Robbie potrząsnął głową.

- Odpada - zaprotestował. - Musimy mieć pewność, że to małżeństwo zaczęło się jak należy.

Ellie nie miała pojęcia, o czym mówi jej kuzyn. Ostatnie wydarzenia zupełnie ją wyczerpały. Oczekiwała cudownego wieczoru, a przeżyła koszmar. Na szczęście wszystko już się skończyło...

- Spędzicie ze sobą noc poślubną - zapowiedział Robbie, rozsiadł się na krześle i lufą wskazał drzwi sypialni Ellie. - A ja dopilnuję, żebyście się nie wymigali.

Młoda para posłusznie znikła w sypialni. Jack zamknął za sobą drzwi i popatrzył świeżo poślubionej żonie w oczy.

Ellie pierwsza przerwała milczenie.

- I co robimy? Wzruszył ramionami.

- Idziemy do łóżka. - Położył się na materacu. - Mam nadzieję, że nie chrapiesz.

- Chyba żartujesz.

- Ani trochę. Mam płytki sen i chrapanie mnie budzi.

- Nie o to mi chodzi. - Zniecierpliwiona machnęła ręką. - Mam na myśli naszą wspólną noc. Tutaj, razem.

Wsunął dłonie pod głowę.

- Nie mamy wyboru - zauważył trzeźwo.

- Oszalałeś? Oczywiście, że mamy wybór. Zaczekamy, aż Robbie zaśnie, i uciekniemy. Możemy też wyskoczyć przez okno.

- Mowy nie ma, to zbyt niebezpieczne. Nie mam ochoty wchodzić twojemu kuzynowi w linię ognia ani też ryzykować postrzelenia w tyłek podczas próby ucieczki. - Demonstracyjnie ziewnął i poklepał wolne miejsce na materacu. - Zapraszam do łóżka... droga żono.

- Jack, przestań się wygłupiać - jęknęła przygnębiona.

- Wcale się nie wygłupiam. - Zerwał się z łóżka i błyskawicznie podszedł do drzwi, gdzie stała Ellie. Oparł dłonie po obu stronach jej głowy i pochylił się, aby dotknąć wargami jej ust. - Mamy przed sobą całą noc. Wykorzystajmy ją jak najlepiej.

Pocałował ją mocno, stanowczo. Nieoczekiwana pieszczota sprawiła, że przed oczami Ellie świat zawirował wszystkimi barwami tęczy, a przez jej ciało przetoczyła się fala gorąca.

Zarzuciła ręce na szyję Jacka, a on chwycił ją w ramiona i przeniósł do łóżka. Wstrzymała oddech. Czowała się tak, jakby jej wnętrze płonęło.

- Przestań - wykrztusiła zadyszana i odsunęła go od siebie. - Nie możemy tego robić.

Pocałował jej szyję, przesunął wargami po odsłoniętym dekolcie. Jego palce rozpięły guzik spódnicy i rozsunęły zamek błyskawiczny, odsłaniając pasek jedwabnej bielizny i koronki...

- Dlaczego? - mruknął. - Przecież tego właśnie chciałaś. Pragnęłaś zdobyć najbardziej pożądanego kawalera w Chicago, to go masz.

Jego słowa z trudem przedarły się przez mgłę, która otoczyła zmysły Ellie. O czym on mówi? Czy ten pyszałkowaty dureń naprawdę sądzi, że odkrył jej prawdziwe pragnienia?

Odepchnęła go z całej siły.

- Gdy następnym razem postanowisz zrobić mężczyznę w małżeństwo, postaraj się konsekwentnie dążyć do celu - poradził ostrym tonem.

- Co ty wygadujesz?

Jack wstał i nerwowym ruchem wskazał drzwi, za którymi czuwał uzbrojony Robbie.

- Łatwo was przejrzeć - wycodził. - Zaaranżowany ślub pod lufą pistoletu. Panna młoda udająca, że stawia opór. Żyłem w przekonaniu, że poznałem wszystkie sztuczki kobiet, które postanowiły mnie usidlić. Myliłem się. Opracowałaś świetny plan, gratuluję. - Powiódł wzrokiem po jej odsłoniętym ciele. - Kiedy chcesz, jesteś naprawdę gorąca.

Eleanor zarumieniła się i pośpiesznie zapięła bluzkę.

- Chyba nie uważasz, że to wszystko zaplanowałam - wymamrotała, wzburzona. - Przecież sam tutaj wtargnąłeś...

- Daj spokój, celowo zostawiłaś odpowiednią wiadomość na mojej sekretarce. Wiedziałaś, że przyjdę. Naprawdę, miałem wyrzuty sumienia, że tak cię wykorzystałem. Teraz wiem, że na samym początku trafnie cię oceniłem. Jesteś chciwą manipulatką, gotową zrobić wszystko dla łatwej kasy.

- Nie dbam o pieniądze - zaprotestowała.

- Za późno na udawanie niewiniątka - warknął. - Miałbym uwierzyć, że ten półgłówek, twój kuzyn, sam wpadł na pomysł ze ślubem? Co za zbieg okoliczności: zaskakująco życzliwy pastor Caspar zjawił się tu akurat dzisiaj. Dziwne, prawda? Powiedz mi, Ellie, czy naprawdę jesteś w ciąży? A może wymyśliłaś sobie tę ciążę, aby łatwiej ci było wciągnąć do planu kuzyna i jego kumpla?

Eleanor była blada jak kreda.

- Ten bałagan to twoja wina. Nic podobnego by się nie stało, gdybyś nie postanowił utrzyć nosa siostrze. Gdybym była w ciąży, za żadne skarby bym cię nie poślubiła.

- Akurat! A teraz, jeśli pozwolisz, mam ochotę się zdrzemnąć. Jutro idę do pracy.

Obojętność w jego tonie podziałała na nią jak płachta na byka. Na domiar złego, nie potrafiła zachowywać się równie zimno, jak on.

- Gdzie zamierzasz spać? - spytała z niechęcią.

- W łóżku, rzecz jasna. - Sięgnął po poduszkę i starannie ją wytrzepał.

- To moje łóżko.

- Nie jestem skąpy, podzielę się z tobą. Twojej cnocie nic przy mnie nie grozi.

Wbiła w niego ciężki wzrok.

- Możesz spać na podłodze.

- Aż tak rycerski nie jestem.

Sięgnął do pasa i sprawnym ruchem rozpiął spodnie.

Policzki Ellie ponownie zapłonęły żywym ogniem. Błyskawicznie wyskoczyła z łóżka i odwróciła się twarzą do drzwi. Kilka sekund później usłyszała szelest pościeli i pstryknięcie wyłączanej lampy. W sypialni zapadł mrok.

Ellie się zawahała. Nie wiedziała, co powinna zrobić, ale z całą pewnością nie chciała spać w jednym łóżku z Jackiem.

Zastanowiła się, czy powinna wyjść z sypialni i przespać się na kanapie. Robbie z pewnością by jej nie powstrzymał, ale mógłby strzelić do Jacka. Na pewno by go nie zabił, mógłby jednak przypadkowo ranić go w stopę albo w dłoń. Albo w pośladek. Nie wolno jej było do tego dopuścić.

Godzinę później straciła tę pewność, gdy po raz kolejny obracała się na twardej podłodze. Okropnie marzła, bolały ją kości. Nie była w stanie opanować dreszczy. Przekłete ogrzewanie musiało się znowu popsuć.

Nagle poczuła wokół siebie ciepłe ramiona, które uniosły ją bez najmniejszego wysiłku.

- C...co ty robisz? - wykrztusiła.

- Tak głośno szczękasz zębami, że nie mogę zasnąć - mruknął.

- Wolę zamarznąć, niż leżeć z tobą w jednym łóżku - odparła z wyższością.



- Jak wolisz. Przynajmniej zaoszczędzę na prawniku, który musiałby unieważnić małżeństwo. Tylko zamarżaj po cichu, dobrze?

Nie zdejmując ubrania, wsunęła się pod kołdrę. Usiłowała nie zwracać uwagi na ciemny kształt spoczywający tuż obok, na wyciągnięcie ręki.

- Miałabyś podstawy dochodzić legalności małżeństwa, gdybyśmy je skonsumowali - zauważył swobodnie.

- Nie, dziękuję - prychnęła. Zaśmiał się cicho, ironicznie.

Ellie obudziła się i od razu wyczuła, że jest inaczej niż zwykle. Zakreśliło się jej w nosie. Nie znała tego zapachu. Nawet nie był nieprzyjemny. Wydał jej się ziemisty, piżmowy... Męski.

Gwałtownie otworzyła oczy.

Muskularna ręka spoczywała zaledwie kilka centymetrów od niej. Instynktownie się odsunęła, ale znieruchomiała, gdy Jack się poruszył i i przetoczył na drugi bok. Wstrzymała oddech.

Nie obudził się. W przenikającym przez zasłony świetle poranka bez ruchu obserwowała jego twarz. Zmarszczył wysokie czoło, między jego brwiami pojawiła się głęboka kreska. Miał krótkie, ciemne rzęsy, dość kształtny nos oraz nieznacznie odstające uszy, przez które wyglądał niemal chłopięco. Wrażenie młodzieńczości zdecydowanie jednak osłabiał poranny zarost. Usta Jacka wydały się Ellie pełne i zmysłowe.

Poczuła bolesne ukłucie w klatce piersiowej. Jeszcze dwa dni temu sądziła, że Jack jest kimś wyjątkowym. Dwa dni temu ucieszyłaby się z nieoczekiwanej uroczystości, w której kilka godzin temu odegrała główną rolę. Jak mogła być tak głupia?

Użalanie się nad sobą nie miało jednak sensu. Wygrzebała się z łóżka i na palcach podeszła do drzwi.

Ani w salonie, ani w przedpokoju nie skrywał się żaden uzbrojony szaleniec. Zajrzała do drugiej sypialni, lecz i tam nie zauważyła żadnych śladów obecności Robbiego i jego przyjaciela. Najwyraźniej sobie poszli.

Ellie odetchnęła z ulgą, poszła do kuchni i nastawiła ekspres do kawy.

Nagle usłyszała za plecami podejrzany szelest.

Odwróciła się i ujrzała Jacka, który spokojnie stał na progu i zapinał koszulę. Miał wilgotne, zaczesane do tyłu włosy.

- Twój kuzyn postanowił opuścić nas przed końcem miodowego miesiąca?

Nie miała ochoty wysłuchiwać jego ironicznych uwag.

- Masz ochotę na kawę? - zaproponowała.

- Pytasz jak prawdziwa żona. Odetchnęła głęboko.

- Przepraszam cię za to, co się zdarzyło w nocy. Robbie bywa niekiedy... impulsywny, ale ma dobre intencje.

- Al Capone z pewnością też chciał dobrze.

- Przykro mi, że musiałeś spędzić tutaj noc, ale chyba nie było tak tragicznie? - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Sam podkreśliłeś, że małżeństwo jest nieważne.

Nie odwzajemnił uśmiechu.

- Mój prawnik zajmie się wszelkimi problemami. Poinstruuje go jednak, aby nie przekazał ci ani centa.

- Nie ma sprawy. - Wzruszyła ramionami. - Nic od ciebie nie chcę.

Zmrużył oczy.

- Naprawdę mam wierzyć, że nie wystąpisz z roszczeniami?

- Nie obchodzą mnie twoje problemy z wiarą. Mówię prawdę.

- To dobrze, bo nic ci nie dam.

- Powtarzasz się. - Miała dość oskarżeń i podejrzeń. Chwiejnym krokiem opuściła kuchnię, podeszła do drzwi wejściowych i otworzyła je, wpuszczając do środka falę zimnego powietrza. Odwróciła się i wymownie spojrzała na Jacka. - Powinieneś już iść i nakazać adwokatowi, aby jak najszybciej wziął się do roboty.

Jack pomyślał, że Ellie doskonale udaje niewiniątko. Tym razem jednak nie zamierzał dać się wpuścić w maliny.

- Świetnie. Niedługo się z tobą skontaktuje. - Włożył płaszcz i rękawiczki. - Dopilnuję, abyś stała przed sądem pod zarzutem próby oszustwa.

- Idź już wreszcie.

- Mój adwokat zadba także o to, aby twój pomyłony kuzyn trafił z powrotem do więzienia...

- Robbie? Nie wolno ci tego zrobić. Robbie nie chciał nikogo skrzywdzić.

- Trzymanie kogoś na muszce jest zwykle uznawane za próbę celowego uszkodzenia ciała. Miejsce tego wariata jest za kratami.

- On zasługuje na jeszcze jedną szansę! - wykrzyknęła wzburzona. - Jeżeli zrobisz cokolwiek, aby skrzywdzić Robbiego, wówczas... opowiem brukowcom całą historię o naszym małżeństwie!

Zatem tak zamierzała obrócić sytuację na swoją korzyść. Jack przeczuwał, że Ellie ma asa ukrytego w rękawie. Ponownie wpadł we wściekłość.

- Rób, co chcesz - wycedził. - Nic mnie to nie obchodzi.

Otworzył drzwi i wyszedł z mieszkania. Smagany lodowatym wiatrem, pochylił głowę i w myślach przeklinał własną łatwowierność.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez następny tydzień Jack pracował wyjątkowo ciężko. Przekazał prawnikowi zwięzłe wyjaśnienia i instrukcje, dotyczące okoliczności ślubu, lecz poza tym prawie w ogóle nie myślał o Eleanor Hernandez. Przypominał sobie o niej tylko czasami, gdy jego wzrok padł na abstrakcyjny obraz na ścianie. W takich chwilach odczuwał przykre pieczenie w żołądku.

W piątkowe późne popołudnie nerwowo przeszukiwał szufladę w poszukiwaniu lekarstwa na nadkwasotę i jednocześnie prowadził telefoniczną rozmowę z kierownikiem produkcji, kiedy otworzyły się drzwi do jego gabinetu. Do środka wkroczył Larry Larson, dyrektor wydziału prawnego Wisnewski Industries.

- Ed, zadzwonię później - zapowiedział Jack i odłożył słuchawkę. Jego wzrok spoczął na twarzy prawnika. - Co się stało?

- Mam dobre i złe wieści - zapowiedział Larry. Gdy siadał na fotelu, starannie ułożył tył marynarki, aby przypadkiem jej nie pognieść. Słyszał z zamyślenia do drogich garniturów i skłonności do zasłaniania włosami tysego placka na czubku głowy. Poza tym był doskonałym fachowcem, inteligentnym i pracowitym. Jack wiedział, że może na niego liczyć i zawsze korzystał z jego porad. - Zacznę od dobrych wiadomości. Rozmawiałem ze specjalistami i wszyscy zgodnie potwierdzili to, co mówiłem od początku. Każde małżeństwo zawarte pod przymusem jest automatycznie nieważne. Po starannym przeszukaniu materiałów źródłowych mogę jednoznacznie potwierdzić, że praktycznie ani jeden stan nie uznaje legalności internetowych licencji małżeńskich. Pani Hernandez

będzie musiała się nieźle napocić, aby wygrać jakąkolwiek sprawę sądową przeciwko tobie. Jack poprawił się na fotelu.

- A złe wieści?

- No tak, złe wieści... - Larry odchrząknął i poprawił mankiet. - Rzecz w tym, że fakt stosowania przymusu bywa trudny do udowodnienia. Pani Hernandez może utrzymywać, że wzięliście ślub z własnej i nieprzymuszonej woli. W takiej sytuacji jej słowo świadczy przeciwko twojemu słowu. Poza tym parę stanów uznaje licencje małżeńskie ściągnięte z internetu. Takie zezwolenia na zawarcie ślubu są ważne na przykład w Vermont, gdzie uznaje się praktycznie każdy rodzaj małżeństwa. Niestety, Caspar Egilbert faktycznie jest pastorem, chociaż uprawnienia otrzymał na dość podejrzanym uniwersytecie. Przykra prawda jest taka, że choć w ostatecznym rozrachunku z pewnością wygramy w sądzie, to pani Hernandez może nam napsuć sporo krwi. Rozprawa zapewne będzie kłopotliwa, połączona z wywlekaniem brudów i wzbudzi niezdrowe zainteresowanie opinii publicznej, co źle się odbije na wizerunku firmy. Akcjonariusze oczekują od dyrektorów zarządzających nieskazitelności...

- Mam gdzieś cholernych akcjonariuszy. - Jack nagle zaczął kipieć złością, którą udawało mu się kontrolować przez cały tydzień. - Nie zapłacę jej ani centa...

- Tak, tak - zapewnił Larry pośpiesznie i pogłaskał węzeł krawata. - Na szczęście to nie będzie konieczne. Przejrzyj zawartość tej teczki, to się przekonasz, że zadbałem o całą dokumentację.

Jack uśmiechnął się z satysfakcją. Sięgnął po grubą teczkę i zajrzał do środka. Na samym wierzchu znajdował się dokument poświadczający, że jest właścicielem galerii. Wziął do ręki pióro.

- Czy księgowy zapoznał się z sytuacją finansową galerii?

- Tak, księgi są w porządku. Tylko jedna rzecz budzi zastanowienie...  
Kilka dni temu wpłynęła darowizna na rzecz Instytutu Sztuki.

- Co w tym dziwnego?

- Artysta otrzymał pięć tysięcy dolarów za dzieło. Dziwnym zbiegiem okoliczności, tego samego dnia spieniężono czek, który wypisałeś dla pani Hernandez.

Jack zacisnął dłoń na wiecznym piórze.

- Zatelefonowałem do Instytutu Sztuki i dowiedziałem się, że darowizny dokonano w twoim imieniu. Spytałem, czego konkretnie dotyczyła i usłyszałem, że chodzi o rzeźbę ogromnego... - Larry zawiesił głos.

- Ogromnego karalucha? - odpowiedział Jack. Larry uniósł rzadkie brwi.

- Wiedziałaś o tym?

- Niezupełnie. - Jack zmrużył oczy, podpisał dokument i odłożył go na bok. Jego spojrzenie padło na poświadczenie, że Eleanor Hernandez odstępuje od wszelkich roszczeń wobec niego. - To już jest podpisane - zauważył.

- Owszem - potwierdził Larry z nieskrywaną satysfakcją. - Dzisiaj rano rozmawiałem z panią Hernandez.

- Robiła jakieś trudności?

- Ani trochę. Sam się zdziwiłem. Zapewne uznała swoją porażkę. Przejrzała zrzeczenie oraz unieważnienie małżeństwa, a następnie podpisała oba dokumenty. Prosiła tylko, abym ci przypomniał, co powiedziała o kuzynie.

- Ach, tak. Jej kuzyn. - Jack odłożył zrzeczenie i spojrzał na następny dokument. Był to pozew przeciwko Robbiemu. W tekście rzucały się w

oczy sformułowania takie, jak: napaść z użyciem śmiertelnie niebezpiecznego narzędzia, czy: pozbawienie wolności.

Jack nagle zrozumiał, że wściekłość uniemożliwiła mu logiczne rozumowanie. Za bardzo rozzłościła go sprawa małżeństwa pod lufą pistoletu oraz groźba sprzedania całej historii brukowcom. Dopiero teraz, gdy ochłonął po tygodniu, pozwolił sobie na chwilę zastanowienia.

Ellie sprawiała wrażenie ogromnie zdenerwowanej, kiedy dziennikarz zrobił zdjęcie jej i Jackowi. Uparła się, aby Jack dogonił fotoreportera i odebrał mu film. Odmówiła nawet udzielania wywiadów, choć mogłaby w ten sposób pomóc ukochanej galerii. Podobno wołała skupić uwagę na artystach i ich pracach, lecz im intensywniej o tym myślał, tym bardziej był pewien, że Ellie z obrzydzeniem myślała o swojej obecności w brukowcach. Doskonale ją rozumiał.

Jeśli usiłowała go szantażować, to marnie jej szło. Powinna była zagrozić mu, że opowie wszystko gazetom, jeśli nie otrzyma pieniędzy. Tymczasem przejęła się losem kuzyna. Jeżeli chodziło jej o pieniądze, to czemu kilka tygodni wcześniej nie spieniężyła czeku na pięć tysięcy dolarów? Na dodatek nie zatrzymała gotówki, tylko zmarnowała ją na idiotyczną darowiznę, która miała go zawstydzić albo zakłopotać.

Gdyby nosiła się z zamiarem wytoczenia mu sprawy sądowej, na pewno odmówiłaby podpisania dokumentów, dostarczonych przez Larry'ego. Poza tym chciałyby się kochać ze świeżo upieczonym mężem, aby skonsumować związek.

To wszystko nie miało sensu.

- Ehem...

Jack skierował wzrok na prawnika, który uważnie go obserwował. Wskazał mu rubrykę na dole dokumentu.

- Wystarczy, że tutaj podpiszesz. Jack odsunął kartkę na bok.

- Zmieniłem zdanie. Nie chcę, aby Roberto Hernandez został aresztowany. Wolę trzymać go z dala od tej sprawy.

Larry otworzył usta ze zdumienia.

- Ale dlaczego? - wykrztusił.

- Nie chcę, aby opinia publiczna dowiedziała się, że pod groźbą użycia pistoletu zostałem zmuszony do zawarcia małżeństwa.

Na czole prawnika pojawiła się zmarszczka.

- Odkąd to przejmujesz się tym, co myślą inni? Jack uniósł brwi.

- Powinieneś być zadowolony - zauważył. - Zawsze mi powtarzasz, żebym miał na względzie opinię otoczenia.

Kreska na czole Larry'ego wyraźnie się pogłębiła.

- Temu człowiekowi nie powinno ująć na sucho to, co zrobił. On jest niebezpieczny, stanowi zagrożenie dla społeczeństwa...

- Boisz się, że zacznie krążyć po mieście i zmuszać mężczyzn do ślubu z jego kuzynką? - zakpił Jack. - Ta perspektywa jakoś nie spędza mi snu z powiek.

- Moim zdaniem to nie jest rozsądny pomysł - jęknął Larry. - Jeśli nie złożymy doniesienia o popełnieniu przestępstwa, wówczas pani Hernandez łatwiej będzie przekonać sąd, że nie zostałeś zastraszony.

- Pani Hernandez podpisała już wszystkie potrzebne nam dokumenty.

- To nie znaczy, że nie może zmienić zdania. Jeśli sprawi sobie bystrego adwokata...

- Jestem skłonny zaryzykować - przerwał mu Jack. - Podjąłem ostateczną decyzję.

- Doskonale - mruknął Larry urażonym głosem. - Podpisz dokumenty anulujące ślub, i już mnie nie ma.



Jack zerknął na ostatni komplet papierów i również odsunął go na bok.

- Zaraz mam spotkanie. Zajmę się tym później.

- Wystarczy twój podpis.

- Chcę przejrzeć te dokumenty - wyjaśnił i zajął się innymi papierami. - To wszystko, Larry.

Gdy usłyszał szcęknięcie zamykanych drzwi, podniósł wzrok i przez kilka sekund wpatrywał się w przestrzeń. Następnie powoli sięgnął po unieważnienie małżeństwa i zajrzał na ostatnią stronę.

Przez długą chwilę wpatrywał się w podpis Ellie. W wyrazie Eleanor nakreśliła łagodnie łukowate E, w nazwisku postawiła wytworne H.

Nagle przypomniał sobie moment przebudzenia w jej mieszkaniu. Od razu zdał sobie wówczas sprawę, że coś jest nie tak. Poszewka poduszki pod jego policzkiem była bawełniana, a nie jedwabna. Zimne powietrze nieprzyjemnie drażniło odsłonięte fragmenty jego skóry, a jego nozdrza wypełniała intensywna woń damskich perfum. Powoli otworzył oczy.

Ujrzał jej ciemne zmierzwione loki oraz długie, czarne rzęsy. Jej czerwone, miękkie usta nieznacznie się rozchyliły, jakby w zachęcie, aby się pochylił i złożył na nich pocałunek.

Ponownie zamknął oczy i zaczekał, aż Ellie wstanie i opuści pokój. Dopiero wtedy zerwał się z łóżka i ubrał, lecz zamiast wyjść od razu, rozejrzał się po sypialni. Zauważył, że stalowa rama antycznego łóżka i staromodna narzuta zaskakująco kontrastują z abstrakcyjnymi obrazami na ścianie. Na białej szafce stała mała, owalna ramka ze zdjęciem dwojga ludzi. Mężczyzna, blondyn o niebieskich oczach, uśmiechał się pogodnie. Kobieta miała ciemne włosy i oczy, a jej twarz wydawała się poważna i

uroczysta. Nie patrzyli na siebie, lecz otaczała ich niemal namacalna aura miłości. Mężczyzna z czułością trzymał dłoń partnerki, a ona pochylała ku niemu głowę. Jack przez długi czas jak zahipnotyzowany wpatrywał się w fotografię.

W końcu odłożył unieważnienie ślubu, zamknął teczkę, sięgnął po telefon i wystukał numer.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nie chciała z nim rozmawiać.

Jack irytował się coraz bardziej. Ellie nie odbierała jego telefonów ani nie oddzwaniała. Pojechał do galerii, ale Tom, nieśmiały artysta, wyjaśnił mu łamiącym się głosem, że Eleanor nie będzie w pracy ani dziś, ani jutro. Jack udał się do jej mieszkania, to jednak nic nie dało: albo nie było jej w domu, albo nie chciała otworzyć drzwi.

Następnego dnia jego cierpliwość ostatecznie się wyczerpała. Ponownie zadzwonił do Ellie i nagrał się na automatyczną sekretarkę.

Wiadomość brzmiała: „Jeśli chcesz nadal pracować w galerii Vogel, masz się stawić w moim gabinecie jeszcze dzisiejszego popołudnia, punktualnie o trzeciej”.

Po odsłuchaniu nagrania Ellie kilka razy dzwoniła do Jacka, ale pani Grist otrzymała zakaz łączenia jej telefonów. Punktualnie o godzinie trzeciej weszła do jego gabinetu. Czowała, jak ze złości trzęsą się jej ręce.

- Co znowu wymyśliłeś? - warknęła, zatrzymując się przy skórzanym fotelu przed jego biurkiem.

- Zamierzasz zmusić pana Vogla, aby mnie wyrzucił? Nie posłucha cię. Uwierz mi, a nie tobie.

- Nie zamierzam w ogóle rozmawiać z Voglem.

- Jack wstał powoli. Wyglądał na bardziej opanowanego niż zwykle, miał wyprostowany krawat, starannie zaczesane włosy, gładko ułożoną marynarkę. Wydawał się jednak surowszy i bardziej zdystansowany niż kiedykolwiek dotąd. - Właśnie kupiłem jego galerię.

Ellie znieruchomiała. Z trudem przełknęła ślinę.

- Nie wierzę ci - wyszeptała. - Pan Vogel by mnie uprzedził.

Od razu uświadomiła sobie jednak, że wcale nie musiało tak być. Al Vogel z dnia na dzień stawał się coraz bardziej osłabiony i miewał problemy z pamięcią.

- Sama go spytaj.

Nie była w stanie zebrać myśli. Jack mógł kłamać, ale w to wątpiła. Po co miałby oszukiwać? Biuro wydawało się jej dobrze ogrzane, gdy do niego weszła, lecz teraz zrobiło się jej zimno, choć miała na sobie gruby, zrobiony na drutach sweter. Przycisnęła przedramię do brzucha, jakby w ten sposób chciała uśmierzyć przeszywający ból. Galeria, jej galeria, trafiła w ręce Wisniewskiego. Była zdana na jego łaskę i niełaskę, podobnie jak wszyscy artyści, którzy współpracowali z Voglem.

Pomyślała, że Jack doskonale o tym wie. Stał za biurkiem niczym król, który czekał, aż jego poddany się ukorzy. Najwyraźniej spodziewał się od niej przeprosin, błagania o litość. Wbiła paznokcie w sweter. Postanowiła nie dać mu tej satysfakcji.

- Kazalesz mi tutaj przyjść, aby mnie osobiście zwolnić? - spytała wyniośle. - A może chcialesz mi oznajmić, że zamykasz galerię? Albo po prostu chcialesz napawać się sukcesem?

- Niestety, nie chodzi mi o żadną z tych opcji. Chciałem cię o coś spytać. Jak rozumiem, w moim imieniu przekazałaś Instytutowi Sztuki pewną rzeźbę.

Ellie westchnęła. Jeszcze parę dni temu ten pomysł wydał się jej doskonały. Teraz, z perspektywy czasu...

Uniosła brodę.

- Owszem, przekazałam muzeum rzeźbę Bertrice. Postawiłam tylko jeden warunek. Zażądałam, aby w wyeksponowanym miejscu znalazła się tabliczka z twoim imieniem i nazwiskiem. Każdy, kto przyjdzie do muzeum, zobaczy karaluchę, a przy nim napis: Jack Wisnewski. Twoi znajomi z pewnością się zorientują, co cię z nim łączy.

- Niewykluczone - oświadczył spokojnie. - Ciekawi mnie tylko, czy to arcydzieło było warte pięć tysięcy dolarów.

- Prawdziwy znawca sztuki zapłaciłby za nie nawet dziesięć razy więcej! - Ellie zatrzęsła się z oburzenia. - Nigdy tego nie zrozumiesz, ale nie interesuję się twoimi pieniędzmi. Zrealizowałam czek tylko dlatego, że zachowałeś się grubiańsko. Wsparłam Bertrice i jestem z tego zadowolona. Przynajmniej jedna osoba skorzystała z twoich funduszy. Teraz cały świat się dowie, jaki z ciebie robał...

- Skończyłaś?

Położyła dłonie na oparciu fotela.

- Tak - warknęła. - Czy możesz przynajmniej poczekać, aż znajdę nowe pomieszczenie na prace, które wystawiam?

- Nie zamykam galerii.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Chcę, aby galeria pozostała otwarta, a ty nadal będziesz nią kierować.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Dlaczego?

- Może po prostu się obawiam, że sprzedasz brukowcom historię o naszym ślubie.

Usiłowała pozbierać myśli.

- Przecież już mówiłam, że nagłośnię tę sprawę tylko wówczas, gdy doprowadzisz do aresztowania Robbiego.

- Zatem mogę zamknąć galerię i nie muszę się przejmować twoją zemstą?

- Tak. A właściwie nie... Chcę powiedzieć...

- Zjesz ze mną kolację?

Nie miała pojęcia, czy Jack żartuje, czy mówi poważnie.

- Dlaczego chcesz się ze mną umówić? Przecież uważasz mnie za kryminalistkę.

Wsunął ręce do kieszeni.

- Powiedzmy, że mam ochotę się z tobą zaprzyjaźnić.

- Co takiego? Nie, dziękuję. Bardzo starannie dobieram sobie przyjaciół.

Nie wydawał się urażony jej nieuprzejmą odmową.

- Przyjaźń ze mną bywa bardzo korzystna. Mogę dofinansować fundację albo przenieść galerię do modnej dzielnicy...

- Wydaje ci się, że można mnie kupić? - spytała wprost.

- Skąd.

- To dobrze. Moja odpowiedź brzmi: nie.

Patrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

- W najbliższą sobotę u mojej siostry odbędzie się zamknięta aukcja, zorganizowana przez Stacy Hatfield. Musisz przyjść, to wchodzi w zakres twoich obowiązków.

- Stacy z pewnością sobie poradzi.

- Jeśli nie przyjdiesz, sponsorzy będą niezadowoleni. Ludzie chcą wiedzieć, kto korzysta z ich pieniędzy.

- Zobaczą ciebie i twoją siostrę.

Zmrużył oczy.

- Potrafię być trudnym przeciwnikiem.

- Grozisz mi?

- Dbam o to, aby fundacja odniosła sukces - wyjaśnił zimno. - Zainwestowałem w nią sporo pieniędzy.

- No tak, to wszystko zmienia - burknęła. - Zatem nie mam wyboru. Czy zawsze szantażujesz kobiety, z którymi chcesz się umówić?

- Nie - zaprzeczył ponuro. - Ty jesteś pierwsza.

- Nie powinieneś był mnie zmuszać do organizowania tej imprezy - syknęła Doreen Tarrington do Jacka i z uśmiechem kiwnęła głową parze znajomych, którzy podjadali kanapki z krewetkami. - To się skończy katastrofą.

- Może tak, może nie - odparł Jack znudzonym tonem.

Doreen ciosała mu kołki na głowie, odkąd kazał jej wydać uroczystą kolację. Stękała, marudziła i jęczała, lecz przerażona wizją samodzielnego finansowania następnego liftingu, ostatecznie zgodziła się zorganizować przyjęcie.

- Ostrzegam cię. Nigdy się do ciebie nie odezwę, jeśli ta obdartuska albo jej komiczny przyjaciel narobią mi wstydu.

Jackowi przyszło do głowy kilka nieuprzejmych odpowiedzi, ale udało mu się pohamować irytację. Nie miał ochoty spędzać tego wieczoru na kłótniach z siostrą.

- Ellie i Caspar z pewnością będą się zachowywali odpowiedzialnie - burknął.

Nie spodziewał się, że Ellie przyprowdzi akurat tego ze swoich znajomych. Stacy Hatfield najwyraźniej poprosiła Ellie o wybranie jednego z artystów i przedstawienie go sponsorom. Wszystko byłoby w porządku, gdyby Eleanor nie ściągnęła na przyjęcie Caspara.

Gdy zadźwięczał dzwonek na kolację, wszyscy podążyli do jadalni.

Ellie wcale nie miała ochoty przyjść. Żałowała, że trafiła do tego brzydkiego, przeładowanego ozdobami domu, w którym znajdowały się wyłącznie bardzo drogie przedmioty. Siedziała przy stole i spoglądała na Jacka Wisnewskiego, pogrążonego w rozmowie z Amber Bellair, swoją dawną przyjaciółką. Przy malej czarnej, która opinała ponętne kształty Amber, skromna, niebieska sukienka Ellie wyglądała jak nabytek prosto z lumpeksu. Cóż, Ellie chętnie kupowała tanią odzież...

Jack, ubrany w ciemny garnitur szyty na miarę, wydawał się idealnym partnerem dla Amber. Tylko jaskrawy, wielobarwny krawat - urodzinowy prezent od Ellie - fatalnie kontrastował z suknią jego rozmówczyni. Dlaczego go wybrał? Może chciał przypomnieć Eleanor, jaka była naiwna i głupia, gdy mu go wręczała?

Z lekkim niepokojem zerknęła na Caspara, który zasiadł po przeciwnej stronie stołu. Z początku zamierzała przyprowdzić artystę z galerii, lecz czuła się w obowiązku uprzedzić ich, że gospodyni nie interesuje się sztuką współczesną, a nawet jest jej otwartym wrogiem. Jak się należało spodziewać, artyści zgodnie odrzucili zaproszenie. Tylko

Caspar uparł się, że przyjdzie. Chciał koniecznie skorzystać z okazji i nawiązać kontakty z potencjalnymi nabywcami swoich prac. Zirytowana zachowaniem Jacka, Ellie ostatecznie wyraziła zgodę, zwłaszcza że pozbawione wyrazu obrazy byłego więźnia miały szansę się spodobać bogatym snobom.

Wbrew obawom, wielu gości szczerze interesowało się sztuką nowoczesną, a paru posiadało na jej temat całkiem rozległą wiedzę.

Tylko nieliczni budzili rozczarowanie...

Brandon Carlyle, pyszałkowaty prawnik w średnim wieku, postanowił zabawić towarzystwo opowieścią o ulubionej restauracji.

- W Alpach Szwajcarskich odkryłem nader interesujący lokal - relacjonował, starannie dobierając słowa. - Żywność serwowana w tym miłym przybytku jest najwyższej jakości. Podają tam niebieską ogonówkę, doprawioną i ugotowaną w sposób perfekcyjny. Jadałem niebieskie ogonówki w Nowym Jorku i w Paryżu, ale zaręczam wam, żadna z nich nie umywała się do tego, co trafiło na mój talerz.

- Daj spokój, Brandon. - Sam Kroner, trzydziestoparolatek o jasnych włosach i pogodnych, niebieskich oczach, pochylił się do prawnika. - Najlepszą żywność łowi się samodzielnie. Gdy spędzałem z Bonnie urlop na Alasce, złowiliśmy najsmaczniejszego pstrąga na świecie. Prawda, BonBon?

Żona Sama skinęła głową.

- Szkoda tylko, że trzeba go było wypatroszyć...

- Jak byłem na Hawajach, to jadłem tam pyszną rybę - przerwała jej Doreen. - Pamiętasz, Amber? Kiedyś chyba wybrałaś się z Jackiem na kolację do tej restauracyjki w Honolulu...



- Pamiętam - odparła Amber. - Rzeczywiście, fajnie było. -  
Popatrzyła na Jacka wymownie, jakby chciała podkreślić, że nie mówi tylko o posiłku.

- Pani Hernandez, czy ma pani ulubioną restaurację? - zapytała Doreen.

Ellie rozejrzała się po twarzach gości przy stole.

- Owszem, Taco Palace - potwierdziła. - Podają tam najlepsze na świecie rybne taco.

Sarah Carlyle wybuchnęła śmiechem tak gwałtownie, że kilka kropli zupy spadło jej z łyżki na białą sukienkę. Nadal uśmiechnięta, wytarła zielonkawą plamę chustką.

- Taco Palace? Nie słyszałam. Ale uwielbiam rybne taco. Gdzie jest ten lokal?

- Niedaleko skrzyżowania Dwudziestej Piątej z Kedzie w Little Village.

- Ja też lubię meksykańskie potrawy - wyznał Sam. - Podają tam enchilady?

- Niezrównane - podkreśliła Ellie. - Ale jestem trochę nieobiektywna, bo to restauracja mojego wujka.

Peter Branwell, właściciel ogólnokrajowej sieci restauracji, podniósł wzrok znad zupy.

- Taco Palace cieszy się świetną opinią - odezwał się. - Podają tam niedrogie potrawy wysokiej jakości. Czy pani wujek nie myślał o franchisingu?

- Nie, woli utrzymać lokal w rodzinie. Doreen zaśmiała się wyniośle.

- Och, czyżby pani tam pracowała?

- Tak, jako kelnerka - potwierdziła Ellie spokojnie.

- Kelnerka? - Doreen dała pokojówce znać, aby uprzątnęła talerze po zupie. - Większość ludzi ma większe aspiracje. A może w pani rodzinie wszyscy są kelnerami, z dziada pradziada?

- Nie, moja mama sprzątała domy.

- Och. A tata?

Ellie uśmiechnęła się smutno.

- Biedny tata, głównie żył z zasiłku. Jego ostatnim zajęciem była sprzedaż używanych samochodów.

- Od dwudziestu lat kupuję używane samochody - oznajmił Sam, gdy pokojówka postawiła przed nim talerzyk z deserem. - Może byłem klientem pani ojca. Jak się nazywał?

- Mieszkaliśmy w Filadelfii, wątpię, by pan go znał.

- Pora rozpocząć aukcję - odezwał się Jack. - Dzisiaj wieczorem będziemy licytowali wyjątkowy przedmiot, obraz z galerii Vogel. Autor, Caspar Egilbert, chętnie opowie nam o swojej pracy. Caspar?

Caspar, pogrążony w rozmowie z państwem Palermo, wstał i odgarnął włosy z twarzy.

- Ten obraz namalowałem specjalnie na dzisiejszą okazję. Inspiracją do jego powstania było to, co wywarło silny wpływ na moje życie.

Tworząc go, chciałem wyrazić miłość i wdzięczność dla mojej matki.

Jednym ruchem ściągnął płótno z obrazu, odsłaniając... piersi.

Setki piersi.

Spiczastych, obwisłych, silikonowych, a także brązowych, różowych, nawet niebieskich. Skrzywionych, wytatuowanych, włochatych, słowem: najróżniejszych.

Widelec pani Branwell zadzwieczał na talerzu. Jej mąż pochylił się, aby lepiej widzieć. Amber siedziała z założonymi rękami, a Doreen prychnęła, oburzona.

Jack roześmiał się głośno.

- Cieszę się, że dobrze się dziś bawiłeś - powiedziała Ellie, gdy kilka godzin później Jack odwoził ją do domu. - Za to twoja siostra była w fatalnym humorze. O to ci chodziło?

- Z początku chyba tak - przyznał. - A ty? Rozerwałaś się trochę?

- Mogło być gorzej. - Nie chciała przyznać, że wieczór okazał się zaskakująco przyjemny.

Gdy Jack wybuchnął śmiechem, wszyscy się odprężyli. Aukcja przebiegła w dobrej atmosferze, a George Palermo i Sam Kroner usiłowali się przelicytować, bo obu ogromnie się spodobał obraz Caspara. Ellie przez cały czas gawędziła z nowymi znajomymi. Amber wyszła wcześniej, ale pozostali goście chyba miło się bawili. Tylko Doreen sprawiała wrażenie niezadowolonej.

Jack skręcił w ulicę, przy której mieszkała Ellie, i zaparkował pod latarnią.

- Przepraszam cię za Doreen - mruknął cicho. Te słowa ją zaskoczyły.

- Nie masz powodu - zapewniła go. - Nie przeszkadzała mi. Popatrzył na nią sceptycznie.

- Czyżby? Wypytywała cię o rodzinę, traktowała jak osobę niepożądaną...

- Wiesz, żal mi twojej siostry.

- Żałujesz jej? - osłupiał. - Z jakiego powodu?

- To smutna i bardzo samotna kobieta, która za wszelką cenę usiłuje sobie kupić miejsce w życiu. Nie rozumie, że pieniądze nie dadzą jej szczęścia.

- Twoim zdaniem ktoś, kto nie ma pieniędzy, może być równie szczęśliwy jak człowiek z ogromną gotówką?

Ellie pomyślała o kłopotach finansowych, które doskwierały jej, odkąd przyjechała do Chicago. Pracowała po czternaście godzin na dobę, jadła ryż i fasolę, aby wystarczyło jej na czynsz.

Pod koniec każdego miesiąca czuła bolesne klucie w brzuchu, gdy robiła bilans i wychodziło jej, że galeria przynosi straty.

- Pieniądze mogą ułatwić życie - przyznała. - Z pewnością jednak zauważyłeś, że ludzie pragną mieć coraz więcej, nawet jeśli dysponują już ogromnymi pieniędzmi. Jeśli zarabiają dziesięć tysięcy dolarów, chcą trzydziestu tysięcy. Gdy dostają sto tysięcy, pragną stu pięćdziesięciu. Nigdy nie zadowolają się tym, co już należy do nich.

Żałowała, że nie potrafi odczytać myśli Jacka. Wpatrywał się w nią dziwnym wzrokiem, ale nie wyglądało na to, że ma ochotę się kłócić, spierać lub zarzucać jej naiwność.

Bez słowa wysiadł z samochodu, nie zważając na intensywnie padający śnieg z deszczem i porywisty wiatr. Otworzył drzwi od strony Ellie i wraz z nią pobiegł do jej mieszkania.

- Zjemy jutro razem kolację? - spytał nieoczekiwanie.

Czy naprawdę uważał, że mogłaby puścić w niepamięć wszystko, co zrobił?

- Nie - odparła i przygotowała się na to, że Jack spróbuje ją pocałować albo przynajmniej zaprotestować.

Tymczasem tylko lekko zmarszczył brwi i nagle przycisnął jej dłoń do ust, aby delikatnie pocałować wierzch rękawiczki, po czym odszedł bez słowa.

Jack wrócił do domu siostry, którą zastał w holu przy wejściu, kiedy nerwowo spacerowała po marmurowej posadzce.

- Jesteś! - powitała go oskarżycielsko. - Dziwne, że nie zostałeś na noc u swojej przyjaciółki.

- Może powinienem był. - Wzruszył ramionami.

- Poprosiłam cię, żebyś przyjechał, bo mam do ciebie żal - wycedziła. - Wmanewrowałeś mnie w przyjęcie, na które nie miałam ochoty... Och, gdybym tak bardzo nie potrzebowała pieniędzy! Co sobie pomyśleli moi przyjaciele?

- Twoi przyjaciele doskonale się bawili - zauważył Jack obojętnie.

- Przeciwnie, przez twoją przyjaciółkę i tego okropnego artystę wszyscy byli w okropnych humorach. A ty nawet nie wybrałeś przyzwoitego krawata!

Rzucił okiem na kolorowy skrawek materiału pod szyją.

- Wiesz, coraz bardziej mi się podoba - wyznał.

- Dostałem go od Ellie.

- Mogłam się tego spodziewać - jęknęła boleśnie. - Widziałam, jak na nią spoglądałeś przez cały wieczór. Nie pasujecie do siebie. Ona pochodzi z nizin, jej matka była sprzątaczką, ojciec handlował, a wuj robi taco.

- Ellie doskonale się odnalazła w towarzystwie - zaprotestował.

- Była tolerowana, i tyle. Poza tym moi przyjaciele są zbyt uprzejmi, aby cokolwiek powiedzieć. Ta dziewczyna jest zainteresowana wyłącznie

pieniędzmi. Twoimi pieniędzmi! Zwróciłeś uwagę, jak badawczo przypatrywała się meblom? Zupełnie jakby szacowała ich wartość!

- Nie znasz jej - burknął Jack.

- Przeciwnie, dobrze znam ten typ kobiet. Myśli tylko o tym, aby zająć w ciążę i wrobić cię w małżeństwo.

- Niezupełnie. Ellie ma kuzyna, który jest gotów zagrozić jej użyciem broni, jeśli nie weźmie ślubu z mężczyzną.

Doreen rozchyliła usta.

- O czym ty mówisz? - wyjąkała.

Jack uśmiechnął się nieznacznie na widok zbulwersowanej miny siostry.

- Moja droga, ostrzegasz mnie poniewczasie - wyjaśnił swobodnie. - Ellie i ja już jesteśmy małżeństwem.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ellie wpatrywała się w żyrafę.

- Dlaczego nie podpisałeś unieważnienia ślubu? - spytała i skierowała wzrok na Jacka.

Wzruszył ramionami i zaprowadził ją do następnego wybiegu. Nie odpowiedział na pytanie. Nie znosiła takiego zachowania. Gdy rano zadzwoniła do firmy i zażądała połączenia z nim, sekretarka po krótkiej konsultacji z przełożonym wyjaśniła, że szef jest zbyt zajęty, ale chętnie spotka się z nią podczas przerwy na lunch, w dowolnie wybranym przez nią miejscu.

- Chcę z nim rozmawiać teraz - oświadczyła Ellie słodko. - Albo spotkać się z nim w zoo.

Nie podejrzewała, że on przystanie na tak absurdalną propozycję.

- Dlaczego nie podpisałeś dokumentu? - ponowiła pytanie.

- Z powodu błędu w tekście. - Rzucił fistaszka pawianowi.

Ellie pomyślała, że tych dwóch łączy niewątpliwe pokrewieństwo.

- Jakiego znowu błędu?

- Technicznej wady prawnej. Wystarczy tydzień albo dwa, a wszystko będzie w porządku.

- Tydzień? Albo dwa? - powtórzyła głucho.

Impreza u Doreen zakończyła się dwa dni temu, ale Ellie nadal żyła jak w transie. Przez galerię przetoczyła się fala klientów - niemal wszyscy goście na kolacji u Doreen oraz gromada ich przyjaciół. Nabywcę znalazło jedno dzieło, ale wszystko wskazywało na to, że inne prace również zostaną sprzedane. Tom, Carlo i Bertrice nie posiadali się z zachwytem.

Ellie również udzielił się ich entuzjazm, choć żałowała, że za sukces galerii jest w dużej mierze odpowiedzialny Jack. Nie chciała o nim myśleć, lecz musiała, zwłaszcza po wczorajszej wizycie pewnej klientki.

Ledwie Eleanor zdążyła otworzyć galerię, zadzwieczał dzwonek przy drzwiach i do środka weszła nastoletnia dziewczyna o nieprzyjaznym spojrzeniu. Ellie w jednej chwili przypomniała sobie, skąd zna tę twarz.

- Ty jesteś Karen Tarrington, prawda? - spytała. Nastolatka zrobiła zdumioną minę i momentalnie nabrała podejrzeń.

- Skąd pani wie? - burknęła.

- Wujek pokazał mi twoje zdjęcie.

- Naprawdę? Nawet nie wiedziałam, że ma moją fotografię. Pewnie mama dała mu zdjęcie szkolne. - Rozejrzała się uważnie. - Ale wysypisko!

Ellie pomyślała z przekąsem, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Członkowie twojej rodziny najwyraźniej mają bardzo zbieżny gust.

Karen zapatrzyła się na krzesło obsypane koralikami i drobinami szkła.

- Mama jest nieźle wkurzona. Ta cała historia zamknie jej drzwi do Rejestru Towarzyskiego. Można na tym siadać?

- Odradzałabym. To dekoracja. Co ma wspólnego galeria Vogel z twoją mamą i rejestrem?

- Właśnie z powodu rejestru mama chciała, żeby wujek założył fundację artystyczną. Dzięki niej mama zamierzała wkręcić się do śmietanki towarzyskiej. Wujek Jack uznał, że pomysł jest do kitu.

Choć raz Ellie musiała się z nim zgodzić.

- Dziwne, że nie odrzucił prośby twojej mamy.

- Nie mógł. Mama zagroziła, że storpeduje mu jakiś manewr z firmą, nad którym pracował. Wujkowi strasznie zależało na powodzeniu tego dealu.

Oszołomiona Ellie patrzyła z niedowierzaniem na Karen.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Kłócili się o to w Wigilię. W ogóle bez przerwy się kłóca. Wujek nienawidzi mamy.

- To chyba nieprawda - zaprotestowała Eleanor machinalnie. - Pewnie jest na nią tylko zły, bo usiłowała zepsuć mu transakcję.

Karen wzruszyła ramionami.

- Wszystko jedno. I tak rzadko kiedy do nas zagląda.

- Kiedyś częściej bywał w waszym domu?

- Tak, kiedy byłam małą. Zabierał mnie do parku, na mecze baseballu i na różne imprezy. Raz poszliśmy nawet do filharmonii.



- Naprawdę?

- Tak, z okazji moich urodzin. Miałam trzynaście lat, a on kupił mi białą koronkową sukienkę z błękitną kokardą z jedwabiu. - Przez moment na twarzy Karen malowała się tęsknota i żal, lecz dziewczyna szybko przypomniała sobie o masce obojętności, za którą nauczyła się skrywać prawdziwe uczucia. - Sukienka nie nadawała się dla nastolatki, ale mama się uparła, więc ją włożyłam. Nie podobała mi się ani sukienka, ani filharmonia, ani ta nudna muzyka klasyczna. Od tamtej pory wujek Jack przestał przychodzić. Mówił, że jest zawałony pracą.

- Zapewne nie kłamał - zauważyła Ellie. Karen ponownie wzruszyła ramionami.

- Przynajmniej kupuje fajne prezenty gwiazdkowe. Ostatnio sprawił mi komputer, a mamie naszyjnik ze szmaragdami i rubinami. Uznałam, że jest brzydki, ale mamie było wszystko jedno. Zawsze zwraca wszystkie otrzymane od niego upominki i odbiera pieniądze.

Ellie przypomniała sobie paskudny naszyjnik. Nie sądziła, że siostra tak nisko sobie ceni otrzymane od Jacka prezenty. Tymczasem liczyła się wyłącznie ich wartość pieniężna...

Czy Jack o tym wiedział? Zapewne tak, lecz i tak starał się dbać o siostrę.

- Więc jak, jest pani moją ciotką, czy nie? Eleanor znieruchomiała.

- Słucham?

- Wujek ożenił się z panią, prawda? Tak powiedział mamie. Dostała szału i nie może się uspokoić.

Ostrzeżenia Karen powinny dać Ellie do myślenia i przygotować ją na rozmowę telefoniczną, którą przeprowadziła zaraz po wyjściu

dziewczyny. Ellie była jednak tak zaskoczona, że kompletnie nie wiedziała, jak się zachować.

Postanowiła na chwilę zapomnieć o Karen i odwróciła się do stojącego obok Jacka.

- Musiałeś wszystko wypaplać siostrze?

- Jak rozumiem, załazła ci za skórę?

- I to jak! - Ellie zirytowała się na samo wspomnienie. Gdy odżegnała się od ślubu z Jackiem, Karen popatrzyła na nią z powątpiewaniem i kilka minut później opuściła galerię. Doreen nie zachowała się równie powściągliwie. - Zostałam zmieszana z błotem. Gdy w końcu udało mi się ją uciszyć i wyjaśniłam, że ceremonia jest nieważna, nazwała mnie kłamczuchą.

- Przepraszam cię w jej imieniu - mruknął.

- Po co jej o wszystkim powiedziałaś? - zapytała podejrzliwie.

- Wymknęło mi się.

- Nie wyglądasz na człowieka, któremu coś się może wymknąć.

- Może nie znasz mnie na tyle dobrze, aby to ocenić.

- Znam cię dostatecznie dobrze, aby nie chcieć poznać cię bardziej.

- Na pewno nie dasz mi jeszcze jednej szansy?

- Po co?

Przesunął palcami po włosach.

- Po prostu wolę, abyś przedwcześnie nie zniknęła z mojego życia.

Spróbujmy najpierw sprawdzić, jak nam się układa.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Więc o to ci chodzi? Nadal liczysz na to, że zaciągniesz mnie do łóżka? Wybij to sobie z głowy. Nie poszłabym z tobą do łóżka, nawet

gdyby od tego zależało przetrwanie rodzaju ludzkiego. Nie masz pojęcia, jak się przyjaźnić z kobietą.

- Możesz mnie nauczyć.

- Nie mam zamiaru bawić się w twoją nauczycielkę. - Ruszyła do drzwi, aby opuścić halę dużych ssaków. Po chwili szła krętą ścieżką, nie zważając na podmuchy lodowatego wiatru. - Doznałam objawienia.

Uświadomiłam sobie, że seks przedmałżeński jest fatalnym błędem.

Dlatego zmieniłam filozofię życiową i odtąd będę przestrzegała zasady:

Bez obrączki nie ma seksu. Co ty na to?

- Nadal chcę się z tobą umawiać.

Z pewnością jej nie dosłyszał.

- Uwaga, powtarzam: nie będzie seksu! - podkreśliła cierpliwie. - I żadnego wydawania pieniędzy na lewo i na prawo. Jesteś w stanie żyć bez szastania gotówką?

- Tak - odparł potulnie.

Nie wierzyła mu.

- W sobotę na uniwersytecie odbędzie się seans zagranicznego filmu, a tydzień później w Garfield Park jest organizowana wystawa kwiatów Azalia Show. Możesz się ze mną wybrać na jedno i na drugie - poinformowała go wspaniałomyślnie.

Wzdrygnął się nieznacznie, ale pokiwał głową.

- Ale żadnego seksu - powtórzyła dla pewności. Ponownie skinął głową.

Usatysfakcjonowana, skierowała wzrok na zwierzęta na wybiegu.

Dwa ogromne niedźwiedzie polarne właśnie urządziły sobie gody.

Ellie zrobiła wielkie oczy i znieruchomiała. Niedźwiedzie nie zwracały uwagi na publiczność i kontynuowały zaloty.

Eleanor zerknęła na Jacka.

- Pod warunkiem - odezwał się z kamienną miną i błyskiem w oku - że mi się oprzesz.

- I co o tym myślisz? - spytała go miesiąc później, gdy wyszli na przerwę podczas darmowego koncertu na miejscowym uniwersytecie.

Jack rzucił okiem na zeschnięte pączki i lurowatą kawę, sprzedawane przez grupkę studentów w obskurnym holu. Postanowił darować sobie przekąskę.

- Szczerze mówiąc, wynudziłem się za wszystkie czasy - wyznał otwarcie.

Zauważył, że jego słowa wstrząsnęły Ellie. Z dezaprobatą zacisnęła usta, ale po chwili się odprężyła i zaśmiała z wysiłkiem.

- Przynajmniej jesteś szczerzy - zauważyła. - Rozpieściła cię łatwa rozrywka. Niekiedy trzeba się wysilić.

- Jaki wysiłek masz na myśli?

- Warto czasem dowiedzieć się czegoś więcej o muzyce, aby docenić jej głębię. Spróbuj wyobrazić sobie jakąś historię, towarzyszącą koncertowi. Albo zastanów się, co czujesz, gdy gra orkiestra. Jakie uczucia towarzyszyły ci podczas pierwszej części koncertu?

- Senność.

Ponownie się roześmiała, ale pokręciła głową.

- Nie wysiliłeś się zbyt, prawda?

- Oszczędzam energię na pracę. Spojrzała na niego z ciekawością.

- Czy nic innego w twoim życiu nie jest warte zachodu?

Zastanowił się. Jeszcze kilka miesięcy temu jego odpowiedź byłaby jednoznacznie twierdząca. Teraz brakowało mu dawnego przekonania.

- Kierowanie przedsiębiorstwem wymaga ogromnego zaangażowania. Sztuka i muzyka to nieistotne ozdoby.

- Przeciwnie. Sztuka uczy ludzi skupienia i pogłębia zdolność obserwacji. Dzięki muzyce lepiej się słyszy to, co mówią inni.

Pyszczaty student ogłosił rozpoczęcie drugiej części koncertu, więc rozmowa się urwała, ale słowa Ellie zapadły Jackowi w pamięć.

Podczas spotkań z nim Eleanor unikała drogich miejsc. Zabierała go do muzeów, na wykłady i do tanich restauracji. Dzięki temu przypominał sobie czasy dzieciństwa, zanim ojciec założył firmę. Co sobota Jack chodził z siostrą i rodzicami na Nabrzeże Marynarskie. Doreen oszczędzała pieniądze, zarobione na opiece nad dziećmi, i zabierała go na przejażdżki na diabelskim młynie i kupowała mu smakołyki.

Miał wiele przyjemnych wspomnień związanych z siostrą. Wtedy była zupełnie innym człowiekiem: pomagała mamie gotować i sprzątać ich mały domek, flirtowała z synem mechanika z sąsiedztwa.

Po tym, jak ich ojciec rozkręcił interes, wszystko się zmieniło. Firma zaczęła przynosić krociowe zyski, więc ojciec pracował od rana do późnego wieczora, a także w weekendy. Rodzina praktycznie przestała go widywać, ale z początku Jack nie zwrócił na to uwagi. Mieli wszystko, o czym zamarzyli. Potem się przeprowadzili, Jack trafił do drogiej szkoły, w której nie czuł się najlepiej. Doreen rzuciła syna mechanika i wyszła za Granta Tarringtona z bogatej rodziny.

Jack pokręcił głową i spojrzał na zasłuchaną Ellie. Miała na sobie dżinsy i sweter, ale delectowała się muzyką, każdy dźwięk sprawiał jej przyjemność. Nie interesowały jej pieniądze ani pozycja towarzyska. Przez ostatni miesiąc Jack sporo się dowiedział o jej bliskich. Razem z rodzicami i rodzeństwem przyjechała do Stanów Zjednoczonych z Meksyku, i

wszyscy ciężko pracowali, aby otrzymać odpowiednie wykształcenie i pracę.

Choć jej ojciec zabierał ją na koncerty, uwielbiał sztukę i grę na skrzypcach, to nie potrafił sobie znaleźć dobrej pracy. Matka Ellie była dobrą i wrażliwą kobietą, ale z trudem dźwigała na barkach ciężar utrzymania rodziny.

Przejęty zmianami w życiu osobistym Jack miał ochotę porozmawiać z Karen o sztuce. Kiedy pewnego wieczoru odwiedził Doreen, zaproponował siostrzenicy pomoc przy komputerze. Nastolatka wydawała się jednak ponura i nadąsana, wcale nie miała ochoty prowadzić rozmów o malarstwie czy muzyce. Jack opowiedział o tym Ellie, która nie kryła zadowolenia z jego postawy.

- Nie oczekuj cudów - oświadczyła krzepiącym tonem. - Masz do czynienia z dorastającą dziewczyną. Jest w trudnym wieku, musisz o tym pamiętać.

- Dlaczego cały czas wygląda na zirytowaną?

- Pewnie ma trudności z wyrażaniem uczuć albo po prostu boi się przed kimś otworzyć. To się zdarza.

- Powiniennem zaczekać, aż dorośnie i spróbować jeszcze raz?

- Dorośli również miewają tego typu zahamowania. Wyobraź sobie, że zakładasz firmę. Po jednym dniu nie spodziewałbyś się milionowych zysków, prawda? Rozwinięcie przedsiębiorstwa jest czasochłonne i wymaga sporo wysiłku. Nawiązywanie bliskich relacji z innym człowiekiem to także ciężka praca.

Słowa Ellie ponownie zapadły mu w pamięć. Wybrał się do Karen z następną wizytą, aby pomóc jej obsługiwać komputer. Tym razem został na kolacji.

Doreen nie posiadała się ze zdumienia, ale zaprosiła go na następny tydzień. Okazało się, że porozumiewanie się z siostrą i siostrzenicą przychodzi mu z coraz mniejszym trudem. Wspólnie z Doreen zaczął wspominać dawne czasy, czasem ze śmiechem, czasem z rozrzewnieniem.

Burzliwe oklaski przerwały mu rozmyślenia. Po długich owacjach wszyscy wstali z miejsc i ruszyli do wyjścia.

- Mogę cię zaprosić na kolację? - spytał głośno, aby Ellie usłyszała go w ogólnym harmiderze. - Oczywiście, do niedrogiego lokalu - podkreślił dla porządku.

- Nie mogę, mam inne plany na wieczór - odparła i odwróciła głowę.

- Umówiłaś się z kimś na randkę?

- Nie... niezupełnie. - Zapatrzyła się na plecy nieznajomego mężczyzny przed sobą. - Moja kuzynka Alyssa ma urodziny. Ciocia i wujek wydają przyjęcie na jej cześć.

- Rozumiem.

Ellie czuła się niezręcznie.

- Pójdiesz ze mną? - zaproponowała mu, gdy dotarli do holu przy wejściu, a tłum nieco się przerzedził.

Znieruchomiał i spojrzał na nią uważnie. Nie miała pojęcia, czy jej zaproszenie sprawiło mu przyjemność.

- Nie masz obowiązku - dodała pośpiesznie. - Impreza może być dla ciebie krępująca. Przyjdzie Robbie. Kazałam mu przysiąc, że nic nikomu nie powie, ale coś może mu się wymknąć...

Przyłożył palec do jej ust.

- Pójdę z ogromną przyjemnością - zapewnił. Natychmiast cofnął palec.

Ellie poczuła, że ma ogromną ochotę przesunąć językiem po wargach, które nagle wydały się jej suche i spierzchnięte. Powstrzymała się jednak, wyczuwając na sobie wzrok Jacka. Serce biło jej tak mocno, jakby miało ochotę wyskoczyć z piersi.

Niepokój, który odczuwała, nasilił się, gdy zajechali przed dom wujostwa. Na ganku czekał na nich

Robbie, ze szklanką piwa w dłoni. Widząc Jacka, zmrużył oczy i pieszczotliwie rąbnął go dłonią w plecy.

- Jak się masz, kuzynie?

- Jack nie jest twoim kuzynem - sprostowała Ellie. - Pamiętaj, co mi obiecałeś.

- Pewnie, Ellie, jasne. Wejdźcie do środka, wszyscy już są na miejscu.

Eleanor nieco się odprężyła. Wiedziała, że Jack wzbudzi zainteresowanie jej rodziny i nie chciała, aby ktoś się dowiedział o ich absurdalnym ślubie.

- Ej, kochani, patrzcie, kogo wam przyprowadziłem! - wrzasnął Robbie, gdy tylko weszli do zatłoczonego salonu. - Oto Ellie i jej nowy mąż!

Kilka godzin później Ellie padała z nóg. Przez cały wieczór musiała wyjaśniać, że nie jest żoną Jacka i że Robbie ma specyficzne poczucie humoru.

Mimo to wszyscy zdawali się uważać ich za małżeństwo.

- Masz fajną rodzinę - zauważył Jack w drodze do domu. - Jesteś szczęściarą, nie każdy może się poszczycić tak miłymi krewnymi.

- Wiem - przyznała.



- Ponownie dziękuję za zaproszenie - dodał, gdy zajechali przed dom i odprowadził ją do drzwi. - Przyjadę jutro po ciebie. Będę w samo południe.

- Jutro nie możemy się spotkać - wykrztusiła nieoczekiwanie.

Nawet nie próbował skrywać niezadowolenia.

- A to czemu?

- Wujek powiedział, że ma problem z pracownikami w restauracji, więc zaoferowałam mu pomoc - skłamała.

- Czy twój wujek nie może znaleźć kogoś innego?

- Wszyscy są zajęci.

- To wykluczone. Nie chcę, abyś pracowała w Taco Palace - oświadczył ostro.

- Nie masz prawa decydować, co mi wolno, a czego nie - warknęła zirytowana.

- Pracujesz u mnie. Nie życzę sobie, abyś w poniedziałek przychodziła do pracy wyczerpana.

- Och, powinnam była się domyślić. Martwisz się o interesy. Nigdy się nie zmienisz. Idź już.

Jack ani drgnął.

- Nie. Chcę z tobą porozmawiać.

- Ale ja nie chcę słuchać tego, co masz mi do powiedzenia.

Twarz mu pobiadła.

- Lepiej zechciej, bo będziesz musiała mnie wysłuchać. .

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że bierzemy ślub, tym razem prawdziwy.

Ellie wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Czy to oświadczyły?

- Tak.

Jego zaciśnięte wargi nie wyglądały szczególnie romantycznie.

- Zabrzmiało to jak rozkaz.

- Ellie... chodzi o to, że... - Zamknął oczy i głęboko odetchnął. Gdy ponownie je otworzył, wydawały się ciemnozielone. - Nie mogę bez ciebie żyć, Ellie. Wyjdiesz za mnie?

Jej serce waliło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

- Jack... - powiedziała cicho. - Och, Jack! Rzuciła się w jego objęcia.

Napięcie momentalnie znikło z jego twarzy, oczy mu pojaśniały.

Pocałował ją gwałtownie. Poczowała się tak, jakby szczęście unosiło ją ponad ziemię. Odwzajemniła jego pocałunek tak namiętnie, że po chwili roześmiał się cicho i odsunął wargi od jej ust.

- Nie chcę zaprzepaścić twojego planu związanego ze wstrzemięźliwością przedmażeńską, dlatego proponuję umówić się na jutro.

- Na jutro? Po co?

- Jutro bierzemy ślub, rzecz jasna. Wstrzymała oddech.

- To niemożliwe - wyjąkała. - Muszę kupić suknię, dać Martinie czas na znalezienie nowej współlokatorki, wziąć urlop z pracy...

- Zapłacę Martinie za czynsz. Z pracy możesz zrezygnować.

Co oczywiste, nie zamierzała przystawać na jego propozycje.

- Daj mi tydzień - mruknęła po namyśle.

Przez sekundę sądziła, że odmówi, ale w końcu skinął twierdząco głową.

- Zgoda, masz tydzień - zdecydował. - Ale potem zamierzam cię porwać.

Roześmiała się.

- Tydzień to mało czasu. Poza tym naprawdę chcę zrezygnować z jutrzejszego spotkania.

- Niech ci będzie - zgodził się niechętnie. - Widzisz, po raz pierwszy w życiu chciałbym postąpić jak należy. Zależy mi na szybkim ślubie, bo myślę tylko o tobie. A teraz nie patrz na mnie takim wzrokiem, bo nie zdołam się powstrzymać. - Pocałował ją mocno, a potem jeszcze raz, delikatniej. - Nie wytrzymam tygodnia bez ciebie. Spotkajmy się w poniedziałek, zjemy razem lunch. Wpadniesz do mojego biura koło południa?

Skinęła głową. Wypuścił ją z objęć i wsunął ręce do kieszeni, jakby nie potrafił zapanować nad sobą w inny sposób. Ellie weszła do domu, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o ścianę. Pomyślała, że chyba zbyt pochopnie przyjęła oświadczyzny Jacka, ale tak bardzo chciała wierzyć, że ją kocha.

Sama kochała go całym sercem.

W poniedziałek rano Jack wkroczył do biura, radośnie pogwizdując. W środku zastał Larry'ego i panią Grist.

- Dzień dobry, moi drodzy - oświadczył radośnie. Pani Grist uprzejmie odpowiedziała, lecz Larry tylko patrzył na niego ze zdumieniem.

- Mam dla was dobrą nowinę - ciągnął Jack.

- Co się stało? - spytał prawnik niespokojnie.

- Nic takiego - odparł Jack. - Poza tym, że biorę ślub z Ellie.

Pani Grist wyraźnie się rozpromieniła.

- Najwyższy czas, proszę pana! - wykrzyknęła. - Moje gratulacje.

Pani Hernandez to miła i urocza kobieta, z pewnością będą państwo szczęśliwi.

Jack uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Dziękuję pani.

Popatrzył na Larry'ego. W przeciwieństwie do pani Grist, adwokat nie wydawał się ani trochę rozradowany wieścią o rychłym ślubie.

- Czy moglibyśmy zamienić słowo w twoim gabinecie? - spytał sztywno.

- Pewnie - zgodził się Jack i skierował wzrok na sekretarkę. - Ellie zjrzysz dzisiaj do mnie, zjemy razem lunch. Proszę ją natychmiast wpuścić, kiedy się zjawi.

- Dobrze, proszę pana. - Sekretarka wróciła do codziennych obowiązków, a Larry zamknął drzwi do gabinetu.

Jack zajął miejsce za biurkiem i popatrzył na zatroskaną twarz prawnika.

- Słucham, Larry.

- Czy wiesz cokolwiek o stanie finansów tej dziewczyny? - spytał Larry bez ogródek.

Jack uniósł brwi.

- Nie sprawdzałem jej wyciągów bankowych.

- Przykro mi, że przypominam ci o takich sprawach, ale na tym polega moja praca. Musicie podpisać intercyzę.

Jack poruszył się niespokojnie.

- To chyba nie będzie konieczne.

- Przeciwnie, to niezbędna formalność. Doskonale wiesz, że połowa małżeństw kończy się rozwodem. Nie wiadomo, co będziecie do siebie czuli za pięć, dziesięć czy piętnaście lat.

- Rozwód nie wchodzi w grę, Larry - oznajmił Jack stanowczo. - Zresztą, nawet gdybyśmy się mieli rozstać, potraktuję ją uczciwie i sprawiedliwie.

- Z pewnością. Rzecz w tym, że ona może inaczej pojmować sprawiedliwość. Wierz mi, jestem po czterech rozwodach i wiem, co mówię. Rozwścieczone kobiety bywają potwornie mściwe. Ellie może zechcieć przejąć firmę. Twoim obowiązkiem wobec akcjonariuszy jest ochrona przedsiębiorstwa.

Jack się nachmurzył. Larry miał słuszość. Firma była równie ważna jak małżeństwo.

- Zgoda, przygotuj umowę przedślubną - powiedział po chwili wahania. - Daję ci czas do czwartku.

- Dobrze - zgodził się prawnik. - Biorę się do roboty.

Larry wyszedł, a Jack zapatrzył się na gruby raport niezależnego audytora. Wykupienie Lachland Company przebiegało zbyt sprawnie. Raport z pewnością skrywał przykre niespodzianki. Transakcja na tak wielką skalę musiała się wiązać z trudnościami.

Sięgnął po telefon.

- Do końca dnia będę studiował raport z audytu - powiadomił sekretarkę krótko. - Proszę zadzwonić do pani Hernandez i odwołać nasz lunch.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ellie, pogrążona w myślach o Jacku, jak zahipnotyzowana szła w czwartek na spotkanie z przyszłym mężem. Nawet nie miała mu za złe, że odwołał poniedziałkowy lunch. Dzięki temu zyskała więcej czasu na załatwienie wszystkich niezbędnych spraw. Sprawa wynajmu mieszkania sama się rozwiązała, gdyż Martina postanowiła przeprowadzić się do przyjaciół. Ellie odwołała prenumeratę gazet. W małym butiku niedaleko Michigan Avenue okazji kupiła ładną, koronkową suknię ślubną za pół ceny. Przekonała Bertrice, by zastąpiła ją w galerii na czas miodowego miesiąca. Bertrice wcale nie miała na to ochoty, ale zmieniła zdanie, gdy usłyszała, ile płaci Jack.

W poniedziałek Ellie spodziewała się telefonu od narzeczonego, lecz Jack nie zadzwonił. Minał następny dzień, a telefon nadal milczał. Niepewność i niepokój narastały. Dlaczego Jack się nie odzywał? Co prawda umówili się, że nie będą się spotykać, ale chyba mogli rozmawiać przez telefon?

Może ogarnęły go wątpliwości? Przecież nawet nie wyznał, że ją kocha...

Ostatecznie postanowiła, że sama do niego zadzwoni. Z początku wydawał się nieco spięty, ale zgodził się umówić z nią na lunch.

- Spotkajmy się jutro - zaproponował. - Powinniśmy porozmawiać o pewnej sprawie.

- Tak, ja również chciałabym ci coś powiedzieć. - Zawahała się. - Czy wszystko w porządku?

- Tak. Wiesz... nie mogę się doczekać...

Gdy odkładała słuchawkę, była wniebowzięta. Nie spodziewała się takiej frustracji i niecierpliwości w jego głosie. Na pewno ją kochał, tak samo, jak ona kochała jego.

Na jej widok sekretarka uśmiechnęła się i, nie przerywając rozmowy telefonicznej, ruchem dłoni zaprosiła ją do środka. Ellie weszła do gabinetu i ujrzała Jacka za biurkiem, pochylonego nad papierami.

- Witaj, kochanie - odezwała się z uśmiechem, a on podniósł głowę.

Sprawił wrażenie zaniepokojonego. Ellie usłyszała za plecami ciche chrząknięcie. Odwróciła się i ujrzała niskiego człowieka w garniturze na miarę.

Obaj mężczyźni wstali.

- Ellie, to Larry Larson, radca prawny firmy. Przygotował dokument, który musisz podpisać.

- Jaki znowu dokument? - spytała zdezorientowana.

Jack popatrzył jej w oczy.

- Intercyzę - odparł.

Jack obserwował Ellie, kiedy Larry objaśniał jej szczegóły umowy przedślubnej. Błąda jak ściana dziewczyna praktycznie się nie odzywała. W końcu prawnik skończył mówić i podsunął jej ostatnią stronę dokumentu.

- Musi pani podpisać w tym miejscu - dodał i podał jej wieczne pióro.

Ellie zignorowała jego gest, wstała i zgarnęła papiery na jeden stos.

- Czy coś się nie zgadza? - spytał Larry.

- Chcę zabrać te dokumenty do domu i je uważnie przeczytać.

- Czyżby czegoś pani nie zrozumiała?

- Nie.

- Zatem nie ma powodu odwlekać formalności - zauważył prawnik nieco chłodnym tonem.

- Wręcz przeciwnie - oświadczyła równie zimno. - Czułabym się źle, gdybym podpisała jakiś dokument, nie zapoznawszy się z nim. Poza tym chyba pokażę je mojemu prawnikowi.

Larry wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Eleanor posłała Jackowi nieco zmęczony uśmiech.

- Pozwolisz, że darujemy sobie dzisiejszy lunch? - spytała. - Straciłam apetyt.

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Jack ruszył za nią.

- Zrozum, nie mogę ryzykować w sprawach firmy.

- Wiem, nawet nie jestem na ciebie zła - westchnęła. - Tylko dlaczego pieniądze wszystko niszczą? Z ich powodu proste sprawy wydają się brudne i brzydkie.

- Przesadzasz - mruknął.

- Wiem, wiem. Chyba po prostu jestem w lekkim szoku. Szkoda, że wcześniej nic mi nie powiedziałaś.

- Miałem po uszy roboty. - Odwrócił wzrok. - Dzisiaj rano podpisałem potwierdzenie przejęcia Lachland Company.

- Gratuluję. - Otarła łzy z policzków. - Na mnie pora.

- Zawsze uważałem go za palanta - warknął Robbie. - Szkoda, że za pierwszym razem nie pozwoliłaś mi rozkwasić mu gęby.

- Robbie! - Ellie drgnęła niespokojnie na zniszczonej kanapie w jego mieszkaniu. Nadal nie mogła wyprostować obolałych pleców po nocy spędzonej na twardych poduszkach. Do tego intensywna woń wody kolońskiej Robbiego wywoływała u niej ból głowy. - Potrzebuję rady, nie chcę bijatyki. Doradź mi coś logicznego i rozsądnego.



- Hm... Powinnaś porozmawiać z dziadkiem. On się zna na takich sprawach.

- Wykluczone - obruszyła się. - Sama sobie poradzę.

- Marnie ci idzie - zauważył trzeźwo. - Nie prosiłabyś mnie o radę, gdybyś nie miała problemu. Powiem ci tak: trudno gościa winić za to, że chce chronić swoją firmę.

- Nie winię go. Po prostu... - Zamyśliła się. Nie wiedziała, jak ująć słowami to, co czuje. - Jack niewątpliwie przejmuje się dobrem przedsiębiorstwa. - Z trudem przełknęła ślinę. - Szkoda, że w podobnym stopniu nie przejmuje się mną.

Robbie westchnął.

- Jeśli ten facet cię nie kocha, to jest idiotą i powinnaś go spisać na straty.

- Wydaje mi się, że mnie kocha, tylko nie wie, jak to okazać. Ma trudności ze stworzeniem związku. Nie potrafi rozmawiać o tym co istotne, nie umie zawierać kompromisów, nie chce się odsłonić.

- Moim zdaniem każdy facet ma z tym kłopot - oświadczył Robbie.

- Może masz rację...

Nie powinna była przychodzić do Robbiego. Należało zadzwonić do Martiny albo do cioci Almy. Robbie był beznadziejnym doradcą, brakowało mu zdrowego rozsądku. Dla niego liczyły się wyłącznie uczucia. Może właśnie takiego rozwiązania potrzebowała...

Jack siedział za biurkiem i wpatrywał się w dokument, którego treść rozmazywała mu się przed oczami. Od godziny usiłował zrozumieć, czego dotyczy treść zapisu, lecz opuchnięte oczy i obolała głowa uniemożliwiały mu skupienie się na pracy papierkowej. Dochodziła czwarta, a Ellie nadal

się nie odzywała. Przykazał pani Grist, aby nie łączyła żadnych rozmów, chyba że zadzwoni jego narzeczona. Tymczasem telefon milczał.

Szarpnął rozluźniony krawat i całkiem ściągnął go z szyi. Coraz bardziej podenerwowany, wstał z fotela i zaczął spacerować z kąta w kąt. W nocy pojechał do Ellie i kazał gospodarzowi otworzyć mieszkanie, wytłumaczył, kim jest i dodał, że obawia się najgorszego. Eleanor nie było jednak w domu - ujrzał w nim tylko spakowane walizki. Zdesperowany zostawił jej list. Nie musisz nic podpisywać, podkreślił w notatce. Zadzwoń koniecznie. Gospodarz obiecał, że przekaże pismo adresatce, gdy tylko Ellie wróci po rzeczy.

Nad ranem Jack pojechał do domu, ale nie mógł spać, więc wybrał się do pracy. Miał mnóstwo obowiązków.

Rzecz w tym, że przez cały dzień nic nie zrobił.

W końcu podszedł do biurka; podniósł słuchawkę i wystukał numer.

- Słucham? - odezwał się kobiecy głos z lekkim hiszpańskim akcentem.

- Dzień dobry, pani Hernandez, mówi Jack Wisnewski - przedstawił się. - Czy Ellie się odezwała?

Zapadło milczenie.

- Nic się nie zmieniło, odkąd dzwonił pan kwadrans temu - usłyszał.

- Czy mogłaby pani zawiadomić mnie, gdy tylko Ellie się z panią skontaktuje?

- Tak, mogłabym - zgodziła się kobieta ze współczuciem i odrobiną irytacji w głosie. - Do widzenia panu.

Usiadł i oparł głowę na dłoniach. Czyżby stracił ją na zawsze?

Nagle drgnął, usłyszawszy brzęczenie intercomu.

- Przepraszam, że przeszkadzam - zabrzmiał głos sekretarki. - Pan Larson chciałby z panem rozmawiać.

- Niech idzie do diabła - burknął Jack i ponownie się przygarbił.

- Ale pan Larson mówi, że to ma związek z Ellie...

- Niby jaki związek? - zaniepokoił się.

- Nie wiem, ale musi pan przejść do sali konferencyjnej. Podobno to ważne.

Jack zmarszczył brwi. Czyżby Larry dowiedział się czegoś o losach Ellie? A może ją sprowadził do firmy?

Błyskawicznie zjechał na drugie piętro, ale w sali konferencyjnej nie zastał narzeczonej. Zamiast niej ujrzał gromadę biznesmenów w szarych garniturach, z czarnymi teczkami. Przypominali roboty - wszyscy, z wyjątkiem niskiego jegomościa o rumianej twarzy, w zielonym garniturze. Nieznajomy siedział na samym końcu ogromnego stołu.

Mężczyzna wyglądał znajomo, choć Jack rozpoznał go dopiero po sekundzie. Z wizytą do jego firmy przybył Calvin G. Hibbert, finansista, obrzydliwie bogaty przedstawiciel znanej rodziny Hibbertów. Jedną z jego firm rywalizowała z Jackiem o przejęcie Lachland Company. Co on tutaj robi, u licha?

- Jack, dobrze, że jesteś! - wykrzyknął Larry. Jego zwykle starannie zaczesane włosy były rozczochrane, a łysy placek na czubku głowy prezentował się w całej okazałości. - Nie uwierzysz, co to za historia...

- Pan Jack Wisnewski? - Jeden z robotów przemówił ludzkim głosem. - Nazywam się Rex Rathskeller, współwłaściciel kancelarii Rathskeller, Broad and Campbell. Ci dżentelmeni to: pan Broad, pan Campbell oraz nasi partnerzy, panowie Pesner, White i Kiphuth.

Jack się nachmurzył. Słyszał o tej kancelarii prawniczej. Specjaliści uważali ją za jedną z najlepszych w kraju.

- Jeśli to ma coś wspólnego z przejęciem Lachland Company...

- Lachland? - Prawnik zrobił zdezorientowaną minę, lecz jeden ze wspólników coś mu wyszeptał do ucha. - Ach, rozumiem - mruknął. - Nie, proszę pana, chodzi o inną sprawę. Nasz klient wynajął nas do omówienia sprawy umowy przedmałżeńskiej...

Jackowi pociemniało przed oczami. Czyżby Ellie znalazła sobie prawników? I to nie byle jakich, ale prawdziwych fachowców, najdroższych specjalistów w branży.

Usłyszał zaniepokojony głos Larry'ego.

- Pan Rathskeller utrzymuje, że Ellie dysponuje pewnymi zasobami finansowymi. Jego zdaniem...

- Nie utrzymuje, i nie jego zdaniem, tylko mówi tak, jak jest naprawdę - odezwał się chłodno starszy pan w zielonym garniturze. - Nazywam się Calvin G. Hibbert, a Eleanor Graciela Hibbert Hernandez to moja wnuczka, właścicielka udziałów w funduszu powierniczym, wartych ponad dwieście milionów dolarów...

Larry wytrzeszczył oczy.

- Dwieście... milionów! - wychrypiął wstrząśnięty.

Zapadła cisza, zakłócana jedynie posapywaniem Larry'ego.

Nagle drzwi do sali otworzyły się szeroko i na progu stanęła drobna kobieta o ciemnych, kręconych włosach i dużych, niebieskich oczach.

Przez chwilę przypatrywała się gromadzie mężczyzn przy stole.

- Dziadek? - wykrztusiła. - Dziadek!

W jednej chwili pobiegła na koniec stołu i rzuciła się starszemu panu w ramiona, aby ze śmiechem obsypać go pocałunkami.

- Dziadku, co ty tutaj robisz? - spytała radośnie.

W pierwszym momencie Jack odetchnął z ulgą, widząc Ellie całą i zdrową. W następnej chwili ogarnęła go jednak zazdrość. Eleanor od razu dostrzegła dziadka, a na niego nawet nie rzuciła okiem.

- Zadzwoił do mnie Robert - odezwał się Calvin G. Hibbert. - Po raz pierwszy w życiu zrobił coś rozsądnego. Od niego wiem, że moja jedyna wnuczka wychodzi za mąż.

Ellie zarumieniła się z poczucia winy.

- Wybacz, dziadku, nie miałam pewności...

- Przyjechałem niezwłocznie - wyjaśnił i posłał Jackowi surowe spojrzenie. - Chciałem poznać twój narzeczonego i muszę przyznać, że powątpiewam w trafność twój wybór.

- Dziadku...

- Robert utrzymuje, że ten tutaj jest lepszy od poprzedniego.

Przynajmniej ma trochę własnych pieniędzy. Nie podoba mi się jednak ta intercyza, którą miałaś podpisać. Nie chcę, aby jakiś amant oskubał cię ze spadku po mnie.

- Jakiego spadku? - Uśmiech znikł jej z ust. - Wydziedziczyłeś mnie, nie pamiętasz?

Tym razem zarumienił się starszy pan. Jego normalnie czerwona twarz przybrała barwę szkarłatu.

- Naplotłem andronów, i tyle. Doskonale wiesz, że nie miałem tego na myśli. Trochę się zdenerwowałem, ale mi przeszło.

- Ale mojego tatę wydziedziczyłeś całkiem serio.

- Człowiek uczy się na błędach - mruknął zawstydzony. - Jesteś najbliższą mi osobą, Eleanor.

- Och, dziadku... - rozczuliła się.

- Pani Hibbert, pozwolę sobie przerwać tę wzruszającą scenę - odezwał się Jack sarkastycznie. - Mogę z panią zamienić słowo na osobności?

Ellie dopiero teraz zauważyła narzeczonego. Stał przy otwartych drzwiach, prowadzących do sąsiedniego gabinetu.

Niechętnie minęła próg. Jack zamknął drzwi i oparł się o nie plecami.

- Co ci się stało? - spytała niepewnie. - Wyglądasz koszmarnie. Chyba powinnam była cię uprzedzić...

- Też tak myślę! Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć, że dysponujesz majątkiem o wartości dwustu milionów dolarów? To więcej, niż sam posiadam.

- Wyprowadziłam się po kłótni z dziadkiem i przez ponad rok się z nim nie kontaktowałam. Nie miałam ochoty być pod jego ciągłą kontrolą, nie interesowały mnie jego pieniądze. Wydziedziczył mnie, a mnie było wszystko jedno. Teraz chyba zmienił zdanie.

- Z pewnością się tego spodziewałaś.

- Wcale nie. To samo zrobił mojemu ojcu. Rodzice żyli w biedzie, bo dziadkowi nie podobało się, że jego syn wziął ślub z meksykańską sprzątaczką. Zaakceptował mnie dopiero po ich śmierci i wkrótce dobitnie dał do zrozumienia, kto tu jest szefem. Wybrał dla mnie szkołę, dobrał mi przyjaciół, selekcyjował nawet mężczyzn, z którymi umawiałam się na randki. W końcu miałam tego dość i się wyprowadziłam.

- Dlaczego nie opowiedziałaś mi tego wszystkiego wcześniej?

Westchnęła cicho.

- Ludzie niekiedy przestają mnie normalnie traktować, gdy dowiadują się, ile jest wart mój dziadek.

- Rozumiem. Miałem uwierzyć, że kochasz mnie, a nie moje pieniądze, a nie zamierzałaś obdarzyć mnie tym samym zaufaniem?

- Skąd! Ta sprawa nie wydawała mi się istotna, zwłaszcza że dziadek mnie wydziedziczył. Pieniądze wszystko niszczą. Naprawdę nie są potrzebne do szczęścia.

- E tam - mruknął Jack i zbliżył się do niej o krok. - Pieniądze są niezbędne, aby fizycznie przetrwać. Marzysz o życiu w świecie bajek, gdzie mogłabyś udawać, że pieniądze nie istnieją.

Skinęła głową. Przypomniała sobie jałowe wysiłki ojca, usiłującego znaleźć pracę, przed oczami ujrzała zmęczoną matkę, która po całym dniu fizycznej pracy nie miała na nic sił.

- Sam wiesz, jak to jest - zauważyła cicho. - Gdy zamieszkałam z dziadkiem, ludzie nagle zaczęli mnie zapraszać, śmiali się z mojego najgłupszego dowcipu, mężczyźni opowiadali mi, jaka to jestem piękna. Nigdy nie wiedziałam, ile w tym wszystkim jest szczerości, a ile obłudy.

Jack milczał. Doskonale wiedział, że Ellie mówi prawdę - jego również traktowano w taki sposób.

- Rafe zapewniał mnie o miłości, ale rzucił mnie, gdy dziadek zmienił zapis w testamencie - wyznała z bólem.

Poruszony, chwycił ją za rękę.

- Bez względu na to, jak będzie wyglądała twoja sytuacja finansowa, moje uczucia do ciebie się nie zmieniają.

Podniosła na niego wzrok.

- Jack, co właściwie do mnie czujesz? Położył dłonie na jej ramionach.

- Popełniłem mnóstwo niemądrych błędów, Ellie. Nie powinienem był domagać się od ciebie podpisania intercyzy. Trudno mi było w tak

krótkim czasie nauczyć się życia w związku, ale nie zamierzam rezygnować, bo cię kocham. Kocham cię, Ellie, a jeśli za mnie wyjdiesz, przez resztę życia będę ci to udowadniał.

- Jack. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Tak bardzo cię kocham.

Nagle znalazła się w jego objęciach. Zasyłał ją pocałunkami, jakby lada chwila miał nastąpić koniec świata.

- Och, ukochany... - szepnęła, gdy w końcu oboje musieli nabrać tchu. - Zostawmy prawnikom intercyzę, której nie mogą się doczekać, i uciekajmy jak najdalej stąd.

Odgarnął kosmyk włosów z jej czoła.

- Którą intercyzę?

- Tę opracowaną przez Larry'ego. Przemyślałam wszystko i teraz wiem, że pieniądze na moment mną zawładnęły. Sądziłam, że to one są źródłem wszystkich moich problemów, ale teraz wiem, winna jestem ja sama i moje lęki. Oto dokument z moim podpisem. - Wyjęła z torebki papiery.

Popatrzył na nie ze zdumieniem.

- Przecież zostawiłem twojemu gospodarzowi list, w którym napisałem, żebyś nic nie podpisywała.

- Nie byłam w domu. - Nie potrafiła znaleźć słów na wyrażenie wdzięczności za to, że jej zaufał. - To już bez znaczenia. Zostawmy dokumenty prawnikom.

Podrapał się po nieogolonym policzku.

- Potrzebna nam nowa intercyza. Musimy zadbać o bezpieczeństwo twojego majątku.

- To takie okropne - westchnęła. - Dokumenty, prawnicy, kłótnie o pieniądze...



- Wiesz co, napiszmy własną intercyzę. - Wyjął z szuflady czystą kartkę papieru i długopis.

Ellie niepewnie usiadła u boku Jacka.

- Musisz się zobowiązać... Zapisz to koniecznie... do tego, że już nigdy nie zabierzesz mnie na wykład profesora Jamesona.

Uśmiechnęła się lekko, ale posłusznie napisała: Eleanor G. Hibbert Hernandez obiecuje, że przenigdy nie zabierze Jacka Wisnewskiego na wykład profesora Jamesona. W następnej linijce dodała: Eleanor G. Hibbert Hernandez otrzymuje wyłączne prawo doboru dzieł sztuki do domu.

Roześmiał się.

- Zgoda, pod warunkiem, że nie kupisz nic od Caspara - zastrzegł się.

- Nawet do łazienki?

- Zwłaszcza do łazienki.

Popatrzyła na niego wymownie, ale skinęła głową.

- Niech będzie. Ale Wigilię będziemy spędzali z moją rodziną.

- Nie ma sprawy. - Umilkł na chwilę i dodał powoli: - Chciałbym jednak zabierać ze sobą siostrę i siostrzenicę.

Skinęła głową.

- Dobra myśl - pochwaliła. - I jeszcze jedno: nie chcę od ciebie żadnych drogich prezentów.

- Przykro mi, ale musisz przyjąć przynajmniej jeden. - Ukląkł przed nią i wręczył jej małe pudełeczko, które wyjął z kieszeni.

Drżącymi palcami uniosła wieczko i wstrzymała oddech na widok prostego, platynowego pierścionka z małym, doskonale oszlifowanym szafirem.

- Och, Jack... Jest piękny... - wykrztusiła ze łzami w oczach. - Chyba zrobię wyjątek, ten jeden raz.

Wziął ją w ramiona i mocno pocałował w usta.

Chwilę później opuścili gabinet, przeszli do sali konferencyjnej i ruszyli do drzwi wyjściowych.

Hibbert ze zdumieniem patrzył na uśmiechniętą parę.

- Dokąd się wybieracie? - spytał.

- Do pałacu ślubów - odparła Ellie.

- A co z umową przedmażeńską? - jęknął Larry.

- Spisaliśmy własną intercyzę. - Jack rozejrzał się po pokoju pełnym prawników. - Macie dzisiejsze popołudnie na sporządzenie intercyzy akceptowalnej dla obu stron. Zwolnię was, jeśli sobie nie poradzicie.

Jack i Ellie opuścili salę.

- Mamy czas do wieczora?! - wykrzyknął pan Rathskeller. - To niemożliwe.

Zamyślony Hibbert skierował surowe spojrzenie na prawnika.

- Nic nie jest niemożliwe - oznajmił. - Napiszcie coś uczciwego i sprawiedliwego. I bierzcie się lepiej do roboty.

Niezadowoleni prawnicy otworzyli teczki i wyłożyli na stół sterty papierów.

- Miłość - wymamrotał jeden z nich z obrzydzeniem.

Hibbert podszedł do okna i zmarszczył brwi. Chciał coś powiedzieć, ale ujrzał Jacka i Eleanor, którzy właśnie opuszczali biurowiec.

Najwyraźniej nie chcąc czekać na limuzynę, Jack zatrzymał taksówkę i oboje wskoczyli do środka. Gdy odjeżdżali, starszy pan zauważył, że się całują.

- Tak - mruknął z rozrzewnieniem. - Miłość.